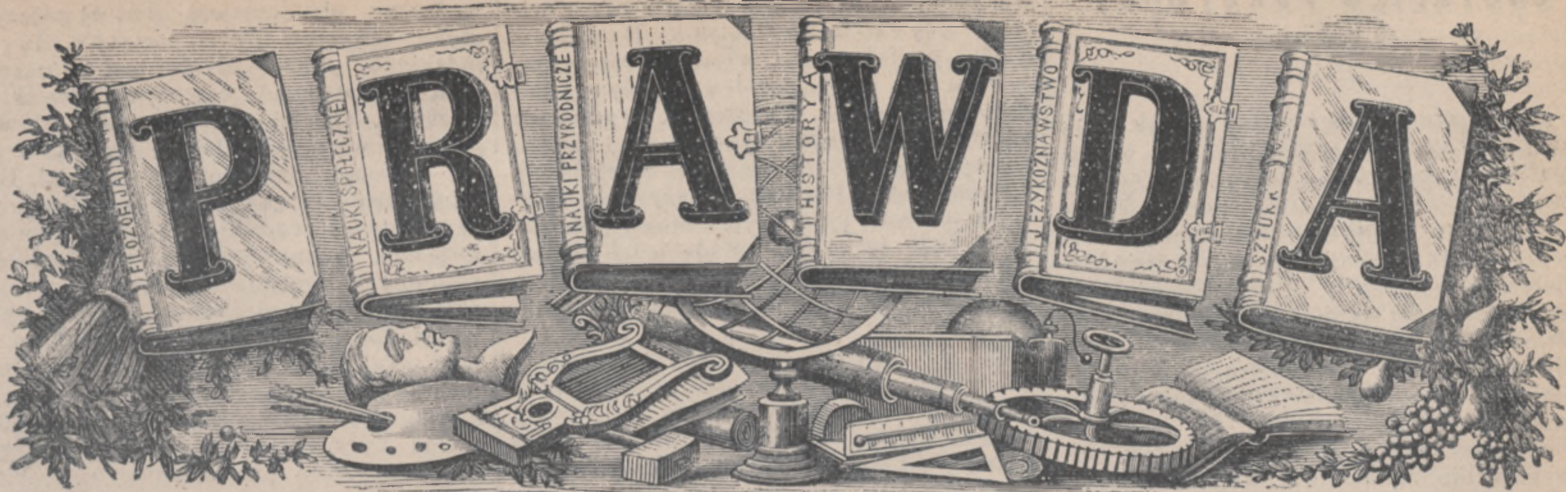
№ 16. Warszawa, dnia 19 (7) Kwietnia 1884 r. Rok IV.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Włodzimierska Nr. 2.**
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Na liczne żądania abonentów naszych odpowiadamy, że:

każdy tom dzieła Brandesa stanowi osobną całość;

tom II wyczerpany;

tomy I i III kosztują po rs. 1 k. 50 każdy;

początek IV (zeszytów trzy) kop. 75, (dla nieprenumeratorów rs. 1 kop. 50).

OBAWA NIESPODZIANEK.

„Mam lat 70 i nerwy rozstrojone, a nie mam czasu na kuracyę. Czy mogę myśleć o obrażonych uczuciach i drobnych zazdrostkach partykularystycznych, jeżeli muszę wszędzie śledzić bieg wypadków? Telegraf pomnożył strasznie moje obowiązki kanclerskie. Niemcy są zainteresowane w tem, co się dzieje w Rzymie, Madrycie, Wiedniu, Budapeszcie, Petersburgu, Paryżu, Londynie. New-Yorku, Washingtonie, Hue, Tamatave, Melburnie, Sidneyu, Kairze i Chartumie. Muszę na świat patrzeć jak na szachownicę i widzieć, czy gdziekolwiek jakiś wypadek, pośrednio lub bezpośrednio, nie dotyczy interesów niemieckich. Dawniej kanclerz potrzebował być w porozumieniu tylko z naczelnemi osobistościami dworów europejskich, teraz musi znać stronnictwa, zakulisowych sterników, finansistów i prądy opinii publicznej oraz szybko działać na podstawie doniesień, przesyłanych mu telegrafem pospiesznie. Dla prędkiego uogólnienia, jego wzrok winien być czujny a wiedza rozległą i ścisłą. Stanowisko kanclerza nie jest wcale próżniaczką a jego obowiązki zdolne są przerosnąć siły młodego człowieka."

Tak Bismark miał przed jednym z posłów tłomaczyć swoje dotąd niezałatwione żądanie uwolnienia go od tek pruskiego ministra handlu i spraw zagranicznych, oraz od urzędu prezesa ministrów. Tym razem, zdaje się, jego prośba o dymisyę nie jest manewrem. Rzeczywiście jeśli uprzytomnimy sobie jego rozliczne trudy na niwie politycznej i społecznej, trudno pojąć tę olbrzymią pracowitość. Bo nie zapominajmy, że on nietylko gra w szachy dyplomatyczne ze wszystkiemi państwami świata, ale wprowadza nowe reformy wewnątrz państwa. Jakkolwiekby ułomnymi lub niedojrzałymi były jego projekty i chociaż w rozwijaniu ich pomagają mu doradcy i podwładni, jednakże trzeba je podjąć i gruntownie poznać, co nie jest rzeczą tak łatwą. To też Bismark co do pracowitości jest poniekąd taką samą zagadką w polityce, jak Kraszewski w literaturze. W stosunkach zewnętrznych ciągle szachuje przeciwników, rozstrzyga spory, rzuca swoje słowo na szalę każdej ważniejszej sprawy, snuje intrygi, przesyła swym ambasadorom coraz nowe instrukcye; w stosunkach wewnętrznych przerabia z gruntu gospodarstwo społeczne, obala i tworzy ustawy, walczy ze stronnictwami, wpływa na wybory, a obok tego wszystkiego jeszcze pisuje artykuły do swoich i repliki do nieprzyjaznych gazet lub wytacza dziennikarzom procesy.

Z drugiej wszakże strony zaprzeczyć trudno, że ten nadmiar robót przeciążył widocznie jego siły i osłabił je właśnie na tem polu, na którem on jest nieporównanym mistrzem, na polu dyplomacyi. Od wojny francusko-pruskiej Bismark więcej działa zdobytym urokiem i strachem, niż pomysłami, i rzeczywiście od tego czasu nie dokonał on niczego, coby ujawniało jego geniusz. Całą niemal swą energię wrzucił w walkę ze stronnictwami, w walkę, która jemu nie dała laurów, a państwu korzyści. Czy to wreszcie dostrzegł w 70 roku życia i zamierza wykonać jakąś śmiałą operacyę polityczną? Być może, a nawet mimo że gołąb z gałązką pokoju przelatuje obecnie całą Europę, są pewne znaki, słychać pewne głuche odgłosy, zdradzające, że Mars niemiecki kuje na jakąś potrzebę oręże. Jego sztab nie odpoczywa w przygotowaniach. Wiadomość to zapewne drobna, ale charakterystyczna i wiarogodna, że poszukuje on gorliwie oficerów niemców, umiejących po polsku. Dziś jest to staranie dziwne, a przecież nie musi być bezcelowem. Gazety wreszcie, obznajmione dokładnie ze zwyczajami „żelaznego księcia" i pamiętające go z lat dawnych, wróżą, że to cofnięcie się od spraw wewnętrznych wróży jakiś skok na zewnątrz. W którą stronę? Nie będziemy przędli domysłu dalej, zaznaczymy tylko obawy, czy nadzieje, które mogą być mylne.

Niedawno *Nordd. Allg. Zeitung* rozśmiała się ironicznie z naiwności dziennikarzów, którzy najmniejszym czynnościom Bismarka przypisują głęboko obmyślane i daleko sięgające znaczenie. Ponieważ służebnica mogła się odważyć na taki uśmiech tylko za pozwoleniem swego pana, niema przeto wątpliwości, że on sam uważa się za mniej przebiegłego, niż go prasa pomawia. Być może więc, że i tym razem nie usuwa się z trzech posad dla wstrząśnięcia światem, ale dla ulżenia ósmemu krzyżykowi swego wieku. Chociażby wszakże tak było, posiada on jeszcze dosyć talentu i energii, ażeby przygotować Europie niespodzianki, od których odrywały go dotąd inne zajęcia. I głównym właśnie jej kłopotem jest dziś obawa tych niespodzianek. Dopóki Bismark walczył z Windhorstem lub Richterem, nie lękano się jego dyplomacyi; ale gdy obecnie powrócił do niej wyłącznie, dreszcze przebiegają... zadowolonych. Ci bowiem, co mało lub nic nie mają do stracenia, spokojnie oczekują każdej burzy.

SOCYALIZM PAŃSTWOWY

(w Niemczech).

Jakiś „nie-polityk,“ który jednak zdaje się być wcale niezłym politykiem, wydał świeżo w Lipsku broszurę o „stanie czwartym i socyalizmie państwowym“ w Niemczech, która istotnie zawiera bardzo cenne skreślenie sytuacyi obecnej u sąsiadów naszych zachodnich*). Autor nawiązuje nić opowiadania do stanu społeczeństwa przed rokiem 1848, wskazując korzyści socyalne *stałości* stosunków ekonomicznych, jaka znamionowała czasy przedrewolucyjne. „Stosunki materyalne — pisze on — nawet w większej części miast ulegały tak drobnym tylko zmianom, tkwiły tak bezpiecznie w formach ekonomicznych przekazanych z przeszłości, że już przez to samo realne podstawy pojedynczych stanów społeczeństwa i spoczywający na nich porządek socyalny zdawały się nie być narażone na żadne wstrząśnienia. Wszak nawet urzędnictwo państwowe w spokojnych dziesięcioleciach przed r. 1848 przyjęło charakter niby patryarchalnej kastowości.“ Wprawdzie już wtedy po uniwersytetach niemieckich zaczęły kiełkować pewne teorye rewolucyjne, przeszczepione z Francyi, ale te doktryny, które do klas średnich po miastach częściowo wniosły zarodki fermentacyi, według autora „na właściwą treść życia społecznego niemców w pierwszej połowie bieżącego stulecia nie miały wielkiego wpływu, a w każdym razie daleko mniejszy, aniżeli wyłącznie polityczno-literacka historya owego czasu przedstawić usiłuje.“ Dopiero z r. 1848 rzecz się zmienia. „Zuczonych zapatrywań na demokracyę starożytną, z filozoficznych idej o państwie i prawie natury, z cudzoziemskich myśli pochodzenia francuskiego i angielskiego narodziło się w mieszczaństwie pojęcie *jednolitego* narodu. Naród jako taki miał reprezentować państwo, narodowi jako całości miały służyć prawa udziału w władzy państwowej; w jednolitym organizmie narodowym już tylko uznawanemi być miały idealne atomy równouprawnionych obywateli. „Nawet różnica między ludnością miejską a wiejską miała uchodzić za przypadkowo-faktyczną“ — bez dalszego znaczenia. Cóż się więc stało, kiedy rewolucye 1848 roku zamieniły doktryny te na paragrafy konstytucyjne? Otóż, miasta prześcignęły w rozwoju obywatelstwo ziemskie. Bo podczas kiedy „produkcyjność własności rolnej posuwała się bardzo zwolna w stałych i ściśle ograniczonych stosunkach, tymczasem przerabianie płodów surowych i środki transportowe do nieznanej dawniej doszły doskonałości.“ Przytem „korzystanie z nowych narzędzi produkcyj, z maszyn, możliwem było tylko dla posiadających kapitał i wykształcenie techniczne — a zatem przeważnie tylko dla obywatelstwa miejskiego.“

To też z niesłychaną szybkością miasta pozbywają się „swych historycznych podstaw indywidualności, które spoczywały na tradycyjnych drogach handlowych i przekazanej od wieków technice w poszczególnych rękodziełach; natomiast chwytają się powszechnej formy pracy, *maszyny* i *międzynarodowego handlu*, tak, że wkrótce już tylko liczbą ludności i objętością mas budynków i sumą kapitałów między sobą się różnią.“ Dawne indywidualności miast znikły — natomiast jeden wspólny interes zjednoczył wszystkie, całe mieszczaństwo, w jeden silny obóz. *Treścią* tego obozu jest przemysłowość; *hasłem* jego liberalizm; *środkami* kapitał i kredyt.

„W jaskrawem przeciwieństwie do naturalnej nieruchomości produkcyi rolniczej, społeczeństwo przemysłowe domaga się największej swobody ruchów. Nazywa to ono *wolnością ekonomiczną*“ — nie bez przekąsu powiada autor.

„Wolność handlu, wolność obrotów, wolność współubiegania się, wolność zarobkowania, osiedlania się, zawierania ślubów — wolność i wolność bez końca — oto warunek życia społeczeństwa przemysłowego.“ Co więcej:

„Organizm państwowy uważanym jest już tylko jak wielka maszyna, mająca przeznaczenie ułatwiać na każdym kroku ruch ekonomiczny, zapobiegać wszelkim przeszkodom i tarciom hamującym go, i czuwać nad bezpieczeństwem w obrębie tego ruchu.“

Słowem, społeczeństwo przemysłowe robi z państwa czyste towarzystwo ubezpieczeń — woła autor. „Aby zaś tym żądzom i namiętnościom nie zbywało na systemie filozoficznym, wszystkie te przekonania społeczeństwa przemysłowego układają się w zaokrąglony dogmatycznie kodeks etyki i filozofii. Według niego, w każdym człowieku leży bezdenny skarb rozumu, moralności i zdolności wydoskonalenia się. Z drugiej strony natura posiada niewyczerpane źródło lekarstw na wszelkie biedy społeczne, nieskończoną obfitość najczystszych, najpiękniejszych postępów dla rodu ludzkiego. *Praca* jedynie jest twórczynią wszelkich wartości, dawczynią wszelkiego szczęścia. Chodzi tylko o to, aby człowiek *poznał* naturę i do niej się stosując w pełnej *swobodzie* rozwoju żył i działał. Brak inteligencyi i brak swobody są jedynemi przyczynami wszelkich nieszczęść na tym świecie... Z harmonijnego współdziałania rozumnych egoizmów jednostek pracujących wyniknie niechybnie szczęście ogółu, kwiat ludzkości, pokój i zgoda, raj na ziemi.“ Tak autor przedstawia filozofię przemysłowego społeczeństwa a widzimy, że nieznajomości rzeczy zarzucić mu nie można.

Cóż były za skutki przewagi tego parweniuszowstwa przemysłowego w Niemczech? „Przedewszystkiem — powiada autor — przemysł rolniczy podupadł. Skazane na nieruchomy środek produkcyi, jakim jest ziemia, i na niezmienne krążenie sił organicznych, do gleby przykute rolnictwo, niemogące się spodziewać nigdy prędkich zysków, ani wielokrotnego pomnożenia powierzonego ziemi kapitału, nie mogło ono mieć większego udziału w zyskach i powodzeniach epoki przemysłowej.“ Z drugiej strony wszelkie ciężary i obowiązki państwowe spadały tradycyjnie już na obywatelstwo ziemskie.

Nastąpiła ruina rolników, upadek dawnych stosunków patryarchalnych, znikła dawna stałość własności ziemskiej. „Starodawne dziedzictwa z tradycyjną wiernością włościan stały się wyjątkami.“ W końcu obywatelstwo ziemskie straciło wszelkie zadowolenie z posiadania ziemi.

„Dopiero na tak wyschłym gruncie, wśród zupełnego rozkładu i upadku gospodarstwa wiejskiego wybujały te chwasty moralne, w których dzisiaj niesłusznie upatrywać by chciano jedyną przyczynę skarg rolnych, jak: lekkomyślne lokacye kapitałów, niezdatność w gospodarce, niedbalstwo i złe prowadzenie się.“

Z przyczyn powyższych wynikły dwa objawy społeczne, nieszczęsne dla Niemiec. Najprzód wyludnienie się wsi wskutek ciągłego odpływu robotników do fabryk miejskich a następnie nieustająca emigracya za morze. Ale i w miastach zaszła wielka zmiana stosunków na gorsze. Rękodzielnictwo, do niedawna jeszcze kwitnące, podupadło. Fabrykacya hurtowna zadała mu cios śmiertelny. Tutaj autor powtarza znane rekryminacye przeciw zgubnemu wpływowi podziału pracy — temu bożyszczu Smithianizmu. Wszystkie usiłowania dźwi-

*) *Der vierte Stand und der Staatssozialismus.* Zur Signatur der deutschen Gegenwart von einem Nichtpolitiker. Lipsk, 1884.

---

3)

Anemiczna.

Wanda znalazła się znowu w swoim pokoju, który ją przejął dotkliwym chłodem. Zostawszy sama, rozpłakała się, a domownicy słyszeli tylko nieprzerywany szept.

Po skończonym wybuchu łez zrobiło się jasno w myślach chorej. Całą jej istotę opłynęło wrażenie blasku. Mogła przypuszczać, że rozpalono wewnątrz niej fosforyczne ogniki, niparzące a lotne i lekkie, rwące się z piersi. Światło niebieskawej lampy rosło w jej oczach, dwojone, trojone wrażliwością siatkówki; widziała wszystko w aureoli złotych promieni; kąpała uczucia, wyobrażenia, podszepty nerwowych złudzeń w połysku nieokreślonej, jasnej substancyi, krążącej w jej żyłach. Szeptała sobie wiersze włoskie, a pamiętała ich w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek, opowiadała wrażenia, doznawane jeszcze dawniej, kiedy była dzieckiem: fantazya zabijała w nich prawdę, umysł, podniecony, rwał pojęcia w dziedzinę najdziwaczniejszych skojarzeń.

Nie była nieprzytomną, bo wiedziała, że mówi i rozumiała, co mówi; tylko nie miała siły powstrzymać potoku i rodzaju słów, jakie cisnęły się jej na usta.

Zmożona fizycznie, zasnęła w końcu.

Senne majaczenia przeniosły ją do G. i poprowadziły do cichego świerkowego lasu, gdzie nieraz serdecznie, poufnie gawędziła z włochem, nie czując trwogi...

Nad ranem śniła właśnie, że trzyma głowę na piersiach Brunona, a jego ręka, czy też wiatr, biegnący od szczytów, gładzi włosy nad jej czołem.

To była największa pieszczota, o jakiej mógł marzyć słaby, wycieńczony, anemiczny organizm.

Nazajutrz po burzliwej nocy przeleżała cały dzień. W myślach krążyły uparcie sonno widziadła. Ciągle zdawało jej się, że musi oprzeć głowę o pierś Brunona.

Gdy zapadł zmierzch i matka, siedząca przy niej w fotelu, zdrzemnęła się; gdy niebieskie kotary i kanapki oblało szare światło, zaczęła marzyć po raz pierwszy oddawna spokojnie, bez nerwowych wstrząśnień histeryczki.

Opierała się o ramię włocha i słuchała dźwięcznej mowy, która pieściła słuch jej, jak muzyka. Potem chodziła z nim po gajach cyprysowych, nad brzegiem morza, którego fale podmywały ich stopy.

Cisza wpływała na nią, jak balsam kojący. Płakała, marząc, lecz łzami, które nie palą, tylko unoszą z piersi część tłoczącego je smutku.

Na drugi dzień zataczała się, lecz chodziła, czując potrzebę znużenia dla zwolniałych swych członków. Wyjrzała przez okno na szare, brudne podwórze, gdzie stał kasztan o pożółkłych liściach. Nagła, gwałtowna tęsknota ścisnęła jej serce. Byłaby oddała pół życia, aby wrócić do G. Wszystkie słowa włocha, jakiemi wprowadzał ją czasem w stan pijanego odurzenia, zaszeleściały głośno w jej myślach. Cała jego postać przesuwała się przed jej wzrokiem z najdrobniejszymi szczegółami. Tak było jej brak czegoś, tak rwała się dusza z granic małego pokoju, którego ciężkie adamaszkowe kotary i lambrekiny dusiły ją!

Pomimo to nie chciała wyjść. Trwoga ją opanowywała przy przestąpieniu progu. Zamykała w szczupłych kresach całą swoją bezbrzeżną tęsknotę, wszystkie nerwowe złudzenia chorego organizmu.

Kończył się wrzesień; ona ciągle wyglądała kogoś; drgała za najmniejszem pociągnięciem dzwonka; bladła lub zalewała się

gnięcia rękodzieł przez „pomoc własną“ spełzły na niczem. Tak tedy z dwóch stron dokonanem zostało wielkie *wywłaszczenie szerokich warstw ludności* — „tutaj rękodzielnik z warsztatu swego wypędzony, tam włościanin pozbawiony swej ojcowizny.“ I jakież odszkodowanie daje nam liberalizm za te wielkie straty społeczne? Autor w najczarniejszych kolorach kreśli wszystkie ujemne strony życia *wielkomiejskiego*. Żale i skargi te dają się streścić w dwóch słowach: *proletaryat* i *kapitalizm*. „Teraz dopiero — kończy on ten rozdział— powstać mógł w Niemczech *stan czwarty*, nieprzyjazny wszystkim innym żywiołom narodowym, nienawidzący państwa, w myślach i uczuciach swoich, w walkach i usiłowaniach popadający w coraz większe rozprzężenie, tracąc wszelki zmysł dla spokoju, prawa i ojczyzny.“ Ten stan czwarty jest wieczną groźbą przewrotów społecznych — tak czy owak więc najbliższa przyszłość musi rozwiązać to zagadnienie społeczne. Do rozwiązania tego „nie-polityk“ nasz chce się przyczynić kilkoma myślami.

„Masom robotników bez własności i bez kapitału dawać radę: *stowarzyszenie i pomoc własna* — było głupstwem bez granic“ — powiada on. „Słusznie też masy na radę powyższą odpowiedziały: naszom stowarzyszeniem są bataliony robotników a naszą pomocą własną jest rewolucya socyalna.“

Natomiast, według autora, prawdziwa umiejętność niemiecka objawiła się w nowej szkole ekonomistów, która zapowiada dzisiaj reformę nauk społecznych na podstawie: *tradycyi* i *moralności*. „Nie-polityk“ ma tu na myśli socyalistów akademickich w Niemczech. „Co mężowie ci w krótkiem dziesięcioleciu zdziałali na polu sumiennego socyalno-ekonomicznego pragmatyzmu i poważnej krytyki historycznej, to stanowi wielką ich zasługę.“ Ale, niestety, w pracach tych reformatorów nie może on dopatrzeć „pozytywnej myśli,“ którąby można przeciwstawić stanowi czwartemu, na zasadzie której by można rozwiązać zagadnienie społeczne.

A więc autor nie podziela złudzeń socyalistów akademickich.

„Przeceniano z początku znaczenie *etycznego żywiołu*, którego brak zarzucano bezdusznej atomistyce doktryny Smitha.“ Łudzono się bowiem, według autora, że jakaś *świecka etyka* potrafi zastąpić odwieczne podstawy moralności ludów, które daje tylko— *religia*. Po za obrębem religii zaś nie było nigdzie stałego gruntu dla tej etycznej budowy, tylko — *w państwie*. To też konsekwencya logiczna zaprowadziła socyalistów akademickich na łono państwa. „Socyalna pomoc, socyalna opieka państwa była ostatniem słowem tego kierunku — *niemieccy socyaliści akademiccy stali się socyalistami państwowymi*.“

„Tak więc bieg wypadków i rozwój myśli ludzkich sprowadziły zwrot ku temu zapatrywaniu, które państwu chce oddać nieograniczone pełnomocnictwo do społecznej reorganizacyi. Ta myśl socyalizmu państwowego, świadomo lub bezwiednie, panuje dzisiaj w Niemczech. Sposób dalszego jej rozwoju na długi czas jeszcze stanowić będzie o losach wewnętrznego ustroju narodowej naszej społeczności.“

I cóż sądzi „nie-polityk“ o tym nowym socyalizmie w Niemczech?

Wierzy weń; głównie zaś dlatego rokuje on mu wielką przyszłość i powodzenie, ponieważ państwo obecnie w Niemczech jest w ręku — Bismarka.

„Bo *drugim* drogoskazem dla przyszłego rozwoju państwa naszego jest postać wszechmocnego ministra pruskiej korony, kanclerza. Postać księcia Bismarka zanadto jest wielką, aby dzisiejsze pokolenie mogło historyczne jej znaczenie ocenić.“ I tutaj autor z wielkiem rozmiłowaniem kreśli, co Bismark uczynił dla *zdemokratyzowania* państwa w Niemczech; wszystko to — według niego — wychodzi na korzyść *stanu czwartego*. Tak więc socyalizm państwowy i książe Bismark spotkali się w pół drogi— pozostaje im podać sobie ręce i wspólnie kroczyć naprzód ku dalszym celom.

Bismark miał tę genialną myśl, że rozbił stronnictwa konstytucyjne i arystokracyę małych księstw niemieckich, ambicye polityczne mieszczaństwa i resztki feudalizmu, gruntując gmach cesarstwa niemieckiego bezpośrednio na szerokiej podstawie demokratycznego głosowania powszechnego. Z tej drogi już niema cofnięcia. Prędzej czy później owa myśl, która z początku była tylko podstępem politycznym, musi pochłonąć co w Niemczech pozostało z dawnych ustrojów partykularystycznych i federalistycznych, stanowych i konstytucyjnych — a pozostanie tylko jeden ustrój wszechwładny, cesarstwo niemieckie, oparte na silnej armii narodowej, na woli, na interesach i instynktach szerokich mas ludowych. Państwu zaś nie pozostaje inna droga, jak tylko „stan czwarty w coraz większych rozmiarach uczynić zawisłym od siebie, interesy jego zarobkowe złączyć ściśle z interesem państwa i tym sposobem stać się coraz więcej *opatrznością* klas niższych. Na tej drodze znajdujemy się teraz i po niej musimy dalej kroczyć.“

Jakich zaś środków państwo ma użyć, aby stać się tą „opatrznością“ stanu czwartego, autor krótko wskazuje. Państwo niechaj będzie *służbodawcą* stanu czwartego; początek już uczyniono w tym kierunku. „Uprzytomnijmy sobie tylko na chwilę liczbę ludzi, którzy przy sądzie, administracyi, cle, podatkach, policyi, poczcie, leśnictwie, szkolnictwie, gminie etc. jako urzędnicy, pisarze, woźni, służący, egzekutorowie itd. zawiśli są od państwa; dalej liczby zależnych od nich rodzin i krewnych— a pojmiemy, jak dalece już ono w ramach historycznie przekazanego urzędnictwa stało się służbodawcą ludności. Tymczasem te stosunki państwa do ludności biedniejszej rozszerzają się coraz więcej. W latach 1872—1882 w ciaśniejszym jedynie obrębie pocztowym cesarstwa (a więc bez Bawaryi i Wirtembergii) liczba poczt podniosła się z 4927 na 9747; armia zaś listonoszów powiększyła się z 16,000 do 78,500! Z tego pojedynczego faktu łatwo wnieść, o jakie cyfry i o jakie postępy tu chodzi.“ Do tego wszystkiego zaś przyłącza się dzisiaj administracya kolei żelaznych, telegrafów, telefonów, nowe komunikacye za pomocą elektryczności itd. W końcu autor dostaje prawie zawrotu głowy, chcąc sobie wyobrazić tę niezliczoną masę ludności, która „przy drogach, gościńcach, placach, w rządowych budynkach, fabrykach, warsztatach itd. od państwa może mieć zajęcie, płacę i utrzymanie — „a wszyscy ci od państwa zawiśli!“ Wprawdzie tę przyszłą formę socyalizmu nie uważa autor samą przez się za dobrą i pożądaną, ale za „logicznie konieczne następstwo danych stosunków.“

„Nie będzie to — powiada on — rozwiązaniem zagadnienia społecznego, ale będzie złagodzeniem przeciwieństw, zapobieganiem ostatecznym przesileniom społecznym, tłumieniem żywiołów rewolucyjnych, słowem będzie to polityka socyalnej obrony z konieczności i samozachowawczości państwowej.“

Starałem się ile można przedmiotowo przedstawić treść ciekawej książki, która na stan umysłów i położenie socyalne w Niemczech rzuca jaskrawe światło.

Czy mam w końcu wypowiedzieć sąd o myślach autora—o nadziejach i życzeniach jego? W kilku słowach to uczynię. Jeżeli prawdziwem jest przedstawienie „niepolityka“ (a sądzimy, że w bardzo znacznej części tak jest), w Niemczech przygotowywa się forma rządu, która w historyi nie jest nową i następuje zawsze po takim

---

rumieńcami, czując najlżejsze poruszenie kotary we drzwiach.

Któregoś dnia przyniesiono list z poczty; matka, przeczytawszy, chciała go spalić, lecz pan Piotr nie pozwolił na to, ofiarując się sam z wręczeniem go Wandzie.

List ten pochodził od jednej z pań, która bawiła jednocześnie z Wandą i jej matką w G., a po wyjeździe ich została tam jeszcze dla dokończenia kuracyi. Donosiła ona o zmianach, jakie tam zaszły w ostatnich czasach.

„Włoch — pisała między innemi — któregoście poznały, a który tak uparcie towarzyszył Wandzi, pocieszył się po stracie jej wkrótce; znalazł sobie bowiem hożą i rumianą niemeczkę, która go pielęgnowała w czasie choroby.

Bo trzeba wam wiedzieć, że niefortunna wycieczka na skałę nietylko Wandzi nabiła guza, ale i głównego dowódcę wyprawy przez przypadkowe uderzenie się jego o wystający zrąb skały przyprawiła o długie, przykre cierpienia. Obecnie jest już zdrów i, jak powiadam, pociesza się krępą, czerstwą niemeczką, którą może zauważyłyście: chodziła zawsze z matką i z siostrą a silnie podobno od pierwszego wejrzenia pokochała się w młodym włochu. Teraz jest już jego narzeczoną; w tych dniach mają wyjechać; ślub nastąpi prawdopodobnie niezadługo.

Czy serduszko Wandzi nie ściśnie się na tę wieść? Radziłabym jej wyszukać sobie jakiego ładnego, chwackiego chłopaka i ubiedz jeszcze w dniu ślubu towarzysza wycieczek: byłoby to najwłaściwsze „pięknem za nadobne...“

Nastąpiło jeszcze kilka zwrotów w tym rodzaju, poczem list, przetrzymany widocznie dni kilka, zawierał przypisek, skierowany wyłącznie do Wandy.

„Dziś rano, wyszedłszy na spacer, jak zwykle, ku polskiemu źródłu—donosiła łaskawa znajoma — spotkałam Brunona T. Był sam i bardzo zamyślony. Zbliżył się do mnie pierwszy, co dotąd nigdy nie miało miejsca i, przywitawszy, zapytał łamaną swoją niemczyzną: czy nie wiem, co się dzieje z wami? Na moją odpowiedź, jakobyście były już w W., a Wandzia jeszcze niezupełnie przyszła do siebie, bardziej posmutniał.

Mieliśmy dokoła nas głuchą, leśną ciszę; może ta cisza, a prędzej wspomnienie o tobie, Wandziu, usposobiły do zwierzeń dawnego twego wielbiciela. Zaczął się spowiadać przede mną, jak grzesznik przed kapłanem. Połowy treści urywanych słów, które w niemieckim języku przychodziły mu z trudnością, musiałam się domyślać sama. Ostatecznie złożyłam z nich całość, którą ci podaję.

Gdy zemdlałaś na skale, stracił prawie zmysły. Długo podtrzymywał cię; wreszcie zbrakło mu sił: zostawił przy tobie pana Piotra, a sam postanowił zejść na dół i sprowadzić pomoc. Za pierwszym jednak krokiem uderzył skronią o skałę, a potem — nie wiedział już, jakim cudem znalazł się u stóp Felsenhöhe. Gdy otworzył oczy po długiem zemdleniu, cicho było i pusto pośród mas granitowych; tylko szum w uszach i głośne, jak gdyby na czyjś pogrzeb dzwonienie mówiło mu, że żyje; zresztą — zdawało mu się, iż nic do koła niego nie istnieje. Oparłszy się ręką o jedną z nieruchomych brył, wstał.

Jeszcze nie uczuł świadomie bólu fizycznego, gdy zobaczył na blado niebieskim swym mundurze ślady świeżej krwi. Machinalnie podniósł rękę w górę: miał czoło zranione.

Ciężkim, wolnym krokiem, opierając się to o wystające, kamieniste grudy, to o drzewa, posuwał się naprzód: krew z czoła spływała ciągle dużemi, obfitemi kroplami. Nie miał dosyć sił, aby zasłonić ranę chustką.

przebiegu rozwoju politycznego i ekonomicznego, jaki dopiero co odbył się w Niemczech — tą formą jest *cezaryzm*.

Autor nazywa to socyalizmem państwowym—my nazwalibyśmy po prostu *cezaryzmem z końca XIX wieku*. Bo choć zawsze w historyi powtarzają się te same zjawiska, jednakże przybierają one zawsze pewne barwy i formy odmienne od różnych czasów i stosunków. Otóż rzymski cezaryzm dawał „panem et circenses;“ Napoleona I dawał łupy i chwałę wojenną; Napoleon III zajmował przebudowaniem Paryża; cezaryzm najnowszy da urzędy przy kolejach, telegrafach i telefonach i zaopatrzenie na przypadek kalectwa i starości.

Jeżeli Niemcy chcą zrobić eksperyment z takim „socyalizmem państwowym“—niechaj go robią! Będzie to rzecz ciekawa i pouczająca. Nam się jednak zdaje, że *do materyalnego utrzymania narodu i państwa* trzeba jeszcze coś innego, prócz cyrków, wypraw wojennych, budowania miast, poczt, telegrafów i telefonów; nam się zdaje, że przedewszystkiem trzeba *produkcyi*, a mianowicie produkcyi takiej, którąby wytrzymała *konkurencyę targu światowego*. Wiadomo zaś, że listonosze, konduktorowie, telegrafiści i telefoniści choć płacę biorą od rządu, stoją właściwie w służbie wytwórczości narodowej. Państwo utrzymując armię tych urzędników i sług, jest tylko pośrednikiem między *produkcyą* a tą jej *służbą*; środki zaś utrzymania tej służby i *całego państwa* daje—produkcya.

Jeżeli socyalizm państwowy ma być prawdą, a nie *pozorem* tylko, to musi zawładnąć *produkcyą przemysłową*. O tem nasz nie-polityk nic nie mówi, bo nie w ciemię bity. On wie dobrze, że państwo *nie może być producentem przemysłowym*. Jeżeli zaś nie potrafi objąć w własną administracyę wytwórczości, jeżeli, co więcej, musi się starać o utrzymanie jej jako źródła wszelkich środków materyalnych—to socyalizm państwowy zostanie tylko frazesem. Bo jeżeli wtedy zechcemy nazwać choćby najliczniejszą służbę państwa stanem czwartym—to jeszcze zawsze w *bezpośredniej* służbie produkcyi pozostanie daleko liczniejszy—stan piąty.

„Nie-polityk“ wiernie przedstawił nam stan rzeczy w Niemczech, rozwiązania zaś kwestyi socyalnej nie posunął naprzód ani na włos.

L. Gumplowicz.

PODATEK GRUNTOWY.

(Dokończenie).

Prawdopodobnie nikomu by na myśl nie przyszło przypominać ani o zmianach, jakie zajść mogły w stanie gruntów opodatkowanych, ani o terminach rewizyi, ani nawet o niedokładności i tymczasowości taryfy podatkowej i tym podobnych strachach, gdyby nie wywołało wilka z lasu Towarzystwo Kredytowe. Na mocy bowiem odwiecznych jego ustaw stopa opłacanego podatku, odpowiednio pomnożona, miała służyć za normę wartości względnej dóbr, podług której przyznawano pożyczkę. Tym sposobem ową wartość miała niegdyś wyobrażać ofiara pomnożona przez sto.

Obecnie wyobraża ją podatek gruntowy pomnożony przez 80; ponieważ zaś pożyczka udzielona powinna mieścić się koniecznie w pierwszej połowie wartości dóbr, mnożnik więc jej nie powinien przewyższać 40. Bywały więc niekiedy wypadki, że właściciele znagleni potrzebą, celem uzyskania większej pożyczki, prosili władzę skarbową o podwyższenie podatku grutowego na zasadzie dokonanych niby to ulepszeń i bez żadnego oglądania się na skutki przenosili grunta żytnie do pszennych, pastwiska do łąk.

Lecz sposób ten był zbyt ryzykowny, zwłaszcza że Towarzystwo mogło wcale nie uwzględnić podwyżki podatku. Znalazł się więc inny, mniej na straty narażający środek. Oto podług przepisów tej instytucyi z r. 1872 w tych razach, gdy na zasadzie taksacyi szczegółowej wartość dóbr okaże się znacznie wyższą od oznaczonej według mnożnika 80, dozwolono podnosić go do 112, czyli stopę pożyczki do 56. Środka tego chwycili się wszyscy właściciele, dla których zwiększenie dawnej lub zaciągnięcie dodatkowej pożyczki zdawało się jedynym ratunkiem wobec ciężkich warunków. Droga wydawała się bardzo dobrą. Można było całkiem bezkarnie wykazywać przy taksacyi niezmierną poprawę gruntów, świetne urodzaje i inne piękne rzeczy bez narażenia się na interwencyę władz skarbowych co do podatków, a panowie delegaci zachowywali się grzecznie i uczynnie, jak przystało bliższym lub dalszym sąsiadom. Czytaliśmy nawet w swoim czasie pewne przestrogi co do ich nieoględności (*Gazeta polska* nr. 16 z r. 1882); ale kazanie przepuszczono mimo uszu, a tymczasem, jak przekonywa *Zbiór wiadomości statystycznych*, z ogólnych przestrzeni dóbr, która w r. 1881 wynosiła 6,792,000 morgów, na 3,807,000 zaciągnięto pożyczkę podług taksy, a tylko dla 2,985,000 zadowolono się pożyczką podług zwykłego mnożnika 40.

Gdybyśmy mieli brać literalnie cyfry podane w owym *Zbiorze* *), to wypadałoby nam wyprowadzić wniosek najpewniejszy, że stan majętności, dla których zaciągnięto pożyczkę podług taksy, jest tak pod względem gruntów, jak i inwentarza żywego i martwego, tudzież innych warunków najświetniejszy. Są wprawdzie fakty tego rodzaju, że np. w chwili obecnej z 2800 majętności obdłużonych nie zapłacono jeszcze rat zeszłorocznych; sceptycy mogą zauważyć, że stan rzeczywisty dóbr ma się w stosunku odwrotnym do stopy zaciągniętej pożyczki, że więc w najpomyślniejszem położeniu znajdują się majątki wcale pożyczką nieobciążone, lecz widocznie takich poglądów pesymistycznych nie podzielają ani władze Towarzystwa Kredytowego, ani te instytucye skarbowe lub kontrolujące, które zamierzyły podwyższyć podatek z dóbr stowarzyszonych na zasadzie wiadomości, znajdujących się w owem Towarzystwie.

Nie wiadomo nam, na czem rzeczywiście opartem było prawo tej władzy, która zażądała z dyrekcyi wyciągów szczegółowych co do klasyfikacyi gruntów: czy była upoważnioną do tego przez ministra skarbu lub kontrolera państwa, czy uczyniła to *motu proprio*. Nie wiemy również, czy dyrekcye szczegółowe Towarzystwa kredytowego udzielały tych wiadomości za wiedzą ministeryum skarbu, pod którego zwierzchnictwem w każdym razie pozostają; czy udzielając ich uczyniły to w taki sam sposób, w jaki komunikowano wnioski władz Towarzystwa w r. 1865, gdy układano pierwotne projekty podatku, to jest, czy te władze, oprócz samych wyciągów klasyfikacyjnych, złożyły jakiekolwiek dane, usprawiedliwiające stosunek ostatnich do podatku. W razie bowiem, gdyby takie wiadomości uzupełniające komunikowane nie były, to jaki zaiste może być użytek z cyfr, o których nie wiadomo nawet, czy dotyczą dóbr taksowanych, czy też nietaksowanych, lub czy były przez Towarzystwo przyjęte przy zaciągnieniu pożyczki, lub nie. Słowem, nie wiemy, czy dyrekcye szczegółowe, udzielając żądanych wiadomości, były same dostatecznie o tem przekonane, iż da-

*) O *Zbiorze* tym, wydanym w r. 1881, *Prawda* zamieściła sprawozdanie w nrze 17 z r. 1882.

Szedł tak długo, odpoczywając. Pod powiekami krążyły mu mroczki, jak cienie; nogi drżały, ciało chwiało się.

Przy wyjściu z lasu na skręcie spotkały go trzy kobiety: choć zdziwione i przelęknione, nie zapytały o nic, wsparły go tylko z dwóch stron i poprowadziły do pobliskiego domku, gdzie mieszkały.

Rana była dosyć głęboka, upływ krwi znaczny. Osłabienie trzymało go przez parę tygodni w pokoju, który mu ustąpiły trzy kobiety, nie zważając na formy światowe i tak zwaną „opinię.“

Umysł jego pod wpływem fizycznej niemocy stracił sprężystość; wrażenia przesuwały się w nim blado i bezbarwnie; pamięć nie była zdolną zdać sobie sprawy z przeszłości. Chwile z tobą przebyte, ty sama, ostatnia niefortunna wycieczka na skałę — wszystko to zdawało mu się snem. Nic nie było w stanie utwierdzić go w przekonaniu o rzeczywistości minionych faktów. Przebywał pośród czterech pustych ścian. Z okna miał widok na mieszkanie gorliwego kuracyusza, po kilka razy dziennie odbywającego różnego rodzaju *halb*, *voll* i *luftbady*. Otaczające go trzy kobiety, oddane mu całą duszą, o tobie nie wspominały nigdy. Wiedzione dziwnym a tak zwykłym u nas darem intuicyi, nie pytały nawet o przyczynę choroby, zgadując po części, po części zaś wiedząc z krążących opowieści, iż w związku z nią musiała być młoda polka.

Jedną z dwóch siostr, Różę, okrągłą, zdrową i przystojną buzię widywał często jeszcze przed poznaniem ciebie; lubił ją, więc dosyć z nią zawsze rozmawiał. Tyś go jej odebrała zupełnie. Chcąc go napowrót przykuć do siebie, starała mu się przez czas jego choroby być wszystkiem: bawiła go całemi godzinami, szczebiocąc po swojemu, jak rozkochana dziewczyna.

Z tem, że go kocha, nie kryła się wcale: raz powiedziała to sama, zarzuciwszy mu ręce na szyję i całując go w usta, w oczy.

Było to właśnie tego dnia, kiedy Bruno uczuł w sobie pierwsze znaki wracających sił i zdrowia. Krew zagrała w żyłach jego na nowo.

O szarym zmierzchu, w pustym pokoju, przed obliczem czterech białych, niemych ścian nazwał Różę żoną swoją. Nim wróciła matka, był poślubiony z nią obowiązkiem i honorem.

Nazajutrz wolno mu było wyjść po raz pierwszy. Mimowoli skierował kroki ku czeskiemu źródłu, a stamtąd ku skale, na której byliście razem. Tu dopiero z krążących myśli wyłoniło się pojęcie niezbitej rzeczywistości, tu dopiero powiedział sobie, że ty sama i chwile z tobą spędzone nie były marą...

Lecz już za późno: musiał wracać do tej, z którą go połączyły węzły, silniejsze nad potok wymienionych zobopólnie słów...

Przyznasz sama, że tylko serce młodego szaleńca mogło się równie szczerze otworzyć przed obcą i nieznajomą osobą. Przyznasz również, iż szczęście dla ciebie, że los nie przeznaczył ci go na męża.“

Wanda przeczytała każde słowo listu, wręczonego jej przez pana Piotra. Koniec powtórzyła parę razy, rozbierając każde zdanie oddzielnie, jak gdyby z nich chciała wycisnąć żyjące, głośne odbicie tego, co pisano.

Po odczytaniu złożyła arkusik starannie i oddała go kuzynowi. Nie uważała, iż ten przyszedł do niej we fraku, w jasnych rękawiczkach i świeżych lakierkach. Spojrzała na niego dopiero, usłyszawszy jego chrząkanie. Sądziła, iż ma ono stanowić wstęp do zwykłego astmatycznego krztuszenia; tymczasem nastąpiła po niem długa, uroczysta przemowa, w której, jako powinowaty i znający dobrze interesy rodzinne, jako przywiązany, dbały o materyalne powodzenie jej matki, ofiarował sierocie serce, nazwisko i — nic dodał — trzy nie-

ją dokładny i całkiem wiarogodny materyał do należytego uregulowania podatku gruntowego.

Tymczasem, ponieważ przestrzeń dóbr otaksowanych wynosi, jak powiedzieliśmy wyżej, 3,806,000 rs., wszystkich zaś stowarzyszonych jest 6,790,000, to rzecz oczywiata, że projektowane obecnie podwyższenie podatku gruntowego dotknie przeważnie ową pierwszą otaksowaną połowę; ze zaś oprócz tego znaczna jest ilość majętności wcale pożyczką nieobciążonych (przestrzeń ogólna gruntów dworskich w Królestwie wynosi około 11 milionów morgów), do tych więc ostatnich, podług powyższego systemu, żadne podwyższenie podatku zastosowanem nie będzie.

Sądzimy więc, że wobec takiego położenia rzeczy ani Towarzystwo nie powinno było udzielać żądanych wiadomości, ani władze skarbowe tak skwapliwie z nich korzystać, a ponieważ, o ile nam wiadomo, sprawa ta dotychczas ciągle w jednym i tym samym kierunku jest prowadzoną, to osobom, które przez takie rozporządzenia czułyby się pokrzywdzonemi, służy prawo regresu do wyższych instancyj, poczynając od ministeryum skarbu.

Lecz jeżeli władze miejscowe, opierając się na danych, niezupełnie na wiarę zasługujących, niewłaściwie w chwili obecnej tę kwestyę podniosły, nie wynika z tego jeszcze, że nie mamy wcale spodziewać się ogólnego podwyższenia podatku gruntowego w całym kraju. Należy bowiem oczekiwać, że stosownie do przytoczonego wyżej artykułu 13 ustawy, zarządzoną będzie ogólna rewizya podatku, a wtedy rząd, opierając się na podwyżce ogólnej wartości dóbr, oraz mając na względzie potrzebę stanowczego uregulowania taryfy podatkowej i zmiany, jakie w przeciągu lat 18 zajść mogły w stanie gruntów dworskich, podwyższy ogólną sumę podatku i poleci sporządzić nowy jego rozkład na powiaty i realności.

Takie rozwiązanie jest tylko kwestyą czasu; w każdym razie będzie ono znośniejszem od proponowanej obecnie podwyżki, gdyż obejmie w jednakim stopniu całą posiadłość ziemską w Królestwie, nie wyłączając i dóbr pożyczką nieobciążonych.

Co się tyczy zaś pociągnięcia właścicieli dóbr do opłaty podwyższonej za całą przeszłość, to jest od dnia 1 stycznia r. 1867, sprawa ta jest już zdecydowaną przez Ukaz Najwyższy z d. 19 lutego 1884 roku, w którym wyraźnie oznaczono termin do liczenia wszelkich nowowykrytych należności podatkowych tylko od 1 stycznia r. 1879, lecz zasada taka dałaby się zastosować może do różnic w przestrzeniach gruntów, wykrytych drogą urzędową w pierwotnych deklaracyach z r. 1865, nigdy zaś do zmian w klasyfikacyach, jakie zajść mogły w tak znacznym przeciągu czasu skutkiem starań i nakładów właścicieli.

S. B.

Z Czerwonej Rusi.

Lwów, 7 kwietnia.

„Agitacya ruska“ w sprawie banku włościańskiego. — Młodzież rusińska i rozbudzony śród niej ruch naukowy i społeczny. — Kornel Zakliński. — „Kółko etnograficzno-statystyczne“ i „Kółko dla urządzania wakacyjnych wędrówek młodzieży.“ — Komitet dla czytelni ludowych i komitet dla kramików wiejskich. — Ogólny kierunek obecnego ruchu rusińskiej inteligencyi.

Jeżeli niektórzy czytelnicy *Prawdy* czytują także wychodzącą tutaj *Gazetę narodową*, to mogli od niej w ubiegłym miesiącu usłyszeć bardzo dużo przerażających wiadomości o okropnej „agitacyi ruskiej“ przeciw zamierzonej przez „komitet obywatelski“ likwidacyi zbankrutowanego Banku włościańskiego. „Pisało tam.“ jak to rusini w złej wierze miotają niedorzeczne pociski na komitet obywatelski, jak bałamucą biedny lud, któremu ów dobrodziej pragnie jak największe przynieść ulgi; rozumie się, że równocześnie silono się wszelkimi wykrętami i „straszakami“ zbijać wrzekome niedorzeczności rusińskich gazet. Osobliwie ukrainofilskie *Diło* sowicie obdarzone było przynoszącymi zaszczyt pociskami *Gaz. narodowej* i jej równie krewkiej koleżanki *Gaz. krakowskiej*. Podczas bowiem, gdy inne pisma rusińskie sprawę banku traktowały więcej sumarycznie, więcej ze strony politycznej, *Diło* odrazu stanęło na stanowisku nieszczęsnych ofiar katastrofy, owych 30,000 zadłużonych rodzin włościańskich i krok za krokiem śledząc t. zw. „akcyę ratunkową,“ analizując każdą odezwę, każdą zapowiedź ratujących sfer, wykazywało nietylko niedostateczność przedsięwziętych środków, lecz wykazywało bezstronnie, całkiem objektywnie, że właściwie o żadne ratowanie włościan sferom owym wcale nie chodzi i że przeciwnie, od czasu rozwiązania banku i utworzenia komitetu obywatelskiego zdzierstwo przybrało daleko brutalniejszą i ohydniejszą postać. Bardzo wiele ciekawych spostrzeżeń zebrałby psycholog, któryby dokładnie zbadał te wszystkie wężowe wykręty logiki gazet w polemice z *Diłem*, tem trudniejsze, że ono zwykle opierało swe twierdzenia na ich własnych słowach. Zpomiędzy ludzi fachowych, którzy w gazecie rusińskiej zabierali głos w sprawie banku, osobliwie godne uwagi są artykuły zborowskiego notaryusza Onyszkiewicza, posła M. Siczyńskiego i jego brata Andrzeja.

Prawda, do żadnych praktycznych rezultatów spór ten nie doprowadził, ale znakomicie wyjaśnił opinię publiczną o właściwych zamiarach naszej kasty rządzącej. Artykuły *Diła* poszły pod strzechy kmiece i były tam pilnie czytane. Mnóstwo zainteresowanych włościan zjeżdża do Lwowa i udaje się wprost do redakcyi życzliwego im pisma, prosząc o pomoc i radę. Ten fakt naprowadził rusinów na myśl zawiązania komitetu, któryby, nie trąbiąc o żadnej akcyi ratunkowej, cicho, ale pożytecznie pracował nad tem, ażeby przy spłacaniu długów biednych włościan postępowano rzetelnie, ażeby suma, która się od nich należy, była sumiennie obliczona, wszelkie prawne korzyści jak najdokładniej wyzyskane; słowem, ażeby nie obiecując dużo, ratować co się da i nieść biedakom czysto prawniczą pomoc. Komitet ten działa już od dwóch tygodni; członkowie jego po kolei na przemiany pełnią swe czynności bądź to w banku, bądź też w osobnem, na ten cel urządzonem biurze. Ciekawa rzecz, że tutejsze dzienniki polskie nie dotknęły go jeszcze ani jednem słówkiem zjadliwem, tylko ograniczyły się na suchem, lakonicznem zanotowaniu, że się zawiązał!

Dawno już miałem zamiar napisać wam nieco obszerniej o tutejszej młodzieży rusińskiej. Młodzież ta, głównie uniwersytecka, ale także i gimnazyalna, daje ostatnimi czasy tak pocieszające dowody życia umysłowego, że jego obraz bez tych objawów byłby bardzo niedokładny. Dość powiedzieć, że szeregi starszej inteligencyi są u nas jeszcze zbyt rzadkie, że więc prawie we wszystkich „starszych“ instytucyach większa część właściwej pracy spada na barki młode. Prowadzenie korespondencyi w *Proświcie*, urządzanie wszelkich wieczorków, chóry i deklamacye, nawet wysyłka prawie wszystkich gazet rusińskich (nb. bezpłatnie!) — wszystko to wykonywa młodzież. *Diło*, *Prołom* i *Zorję* redagują ludzie młodzi, oni pomogli do dźwignięcia „Narodnej Torhowli“, jedynego dotychczas towarzystwa kupiecko-przemysłowego, oni rusińskiemu teatrowi dostarczają tłomaczeń itd. Lecz

---

odstępne swe towarzyszki: podagrę, reumatyzm, astmę.

Wanda przed końcem oracyi wybuchnęła śmiechem, który rozsadzał jej piersi.

Z tym śmiechem uleciała z jej serca paląca tęsknota. Gdy osowiała, samotna siedziała nazajutrz i wszystkich dni następnych w swym pokoju, nie czekając uderzenia dzwonka i szelestu kotary, myśli jej przestały gonić ubiegłe chwile, marzenia przestały snuć sieć pajęczą nad brzegami Adryatyku, echo włoskiej mowy przestało pieścić jej ucho miękkimi, falistymi dźwiękami.

Całą określoną i wyraźną żądzą młodego serca zapragnęła zdrowia. Instynktownie więcej, aniżeli przez pracę refleksyi pojęła, iż z chorym, wycieńczonym, anemicznym organizmem nie była zdolną do żadnego z uniesień, któremi ludzie łatają poszarpane widmo szczęścia.

Zazdrościła Róży, lecz zarazem czuła się niższą od niej. Nie patrząc w lustro, przegięta osłabieniem, wydała się sobie karykaturą młodej dziewczyny.

Jak jedynej, najżywotniejszej rozkoszy pragnęła zdrowia...

Przez dwa lata jeździła z końcem wiosny do morza. W czasie zimy używała dużo ruchu, powietrza; wzmacniała organizm odżywczymi środkami. Wreszcie, jak zwiastuny dobrej doli, zaczęły na policzkach wykwitać delikatne, stałe rumieńce, usta traciły bladość.

Gdy po dwu latach, wróciwszy z Ostendy, poznała pana Romana, przystojnego blondyna o ujmującej powierzchowności i inteligentnem, poważnem spojrzeniu — nie doznawała trwogi, myśląc o nim nawet w jak najgłuchszą noc zimową.

Gdy raz, siedząc przy niej na kanapie, pod portretem ojca, pan Roman objął ją w pół i pocałował delikatne jej, rozchylone jak listki róży, wargi—nie zemdlała. Bladoniebieskawo światło zawieszonej na środku pokoju lampki było świadkiem zdrowego i bynajmniej nie niepokojącego rumieńca szczęścia, zachwytu i uniesienia.

Gdy potem pan Roman, wyciągnąwszy do niej silne, muskularne ramiona, wziął ją na ręce, jak dziecko, i chodząc z nią po pokoju, powtarzał bez końca: „kocham ciebie, kocham najdroższa“ — całą jej istotę opływała rzeźwość i siła, jak po wypiciu płynu, zaczarowanego odżywczą mocą. Nie płakała z trwogi, jak dawniej; usta jej nabrzmiewały pragnieniem pieszczoty: czuła się szczęśliwą...

We wspomnieniach z jej życia, pisanych przez mężatkę i matkę trojga blondynków o białych twarzach i szerokiem na świat spojrzeniu, można znaleść następującą uwagę:

„W bajce miłość jest czarem, po który trzeba wędrować w siedmiomilowych butach przez góry i lasy do starej wiedźmy w chatce na kurzej nóżce. W religii — dobrocią Wszechmocnego, który na nią zezwala, obwarowawszy ją sakramentem i przykazaniami. W sentymentalnej poezyi — świętą iskrą, której, jak natchnienia każda pierś powinna wyczekiwać ze świętem namaszczeniem, przygotowana i oczyszczona na przyjęcie oblubienicy. W naturalizmie — wyuzdaniem zmysłów. W patologii młodych dziewczyn — histeryą. W fizyologii — normalną potrzebą każdego organizmu, której temperament danej jednostki nadaje właściwe tętno, a którą umysł, stopień ukształcenia i charakter okrasza poezyą.

W siedemnastym roku życia zaczęłam kochać nerwami — byłam wówczas bardzo *anemiczna...*“

C. Z.

---

prócz tych prac zbiorowych, w których udział młodzieży, chociaż i tak znaczny, musi z natury rzeczy być pokrywany imionami starszych ludzi, ma ona także wyłącznie swoje ogniska, gdzie również ostatnimi czasy budzi się coraz żywsza i systematyczniejsza działalność. Głównem takiem ogniskiem życia umysłowego jest towarzystwo studenckie „Akademiczne bratstwo,“ przy którem, w myśl statutów, z jego członków a także i z postronnych uczestników zawiązują się, w miarę nagromadzenia sił, specyalne kółka w celach naukowych. I tak przed kilku laty powstało „Kółko prawników,“ liczące obecnie około 50 członków i posiadające wcale piękną podręczną bibliotekę. Odbywa ono co parę tygodni posiedzenia, na których rozprawia o rozmaitych bieżących kwestyach prawnych, zdaje sprawę z nowo wychodzących dzieł prawniczych i prowadzi dyskusye — wszystko w języku rusińskim. Obecnie wybrało ono komitet, który pod przewodnictwem światłego i powszechnie lubianego profesora tutejszego uniwersytetu, dra Aleksandra Ogonowskiego, raz na tydzień obraduje nad maloruską terminologią prawniczą.

Również przed kilku laty zawiązało się z członków tegoż stowarzyszenia „Kółko historyków,“ głównie za inicyatywą studenta uniwersytetu, później suplenta przy ruskiem gimnazyum, zmarłego niedawno Kornela Zaklińskiego. Był on duszą tego grona, które obok historyi właściwej zaczęło zwracać także uwagę na literaturę ukraińską. Z czasem atoli, gdy słabość przykuła go do łoża, ostygł po części zapał towarzyszów, chociaż nie przestali oni uprawiać niwy dziejów rodzinnych. I tak Zakliński sam wydał dwie cenne monografie: *Stosunki kozaków z ces. Rudolfem II* (opracowane przeważnie na podstawie dziennika Lassoty) i *Stosunki kozaków ze szwedami i Rakoczym*; ta ostatnia monografia była jego śpiewem łabędzim. Główną atoli jego pracą, chociaż dotychczas nieogłoszoną, było krytyczne obrobienie Grądzkiego historyi wojny kozackiej. Praca ta, czytana w seminaryum Liskiego, zjednała mu wielkie uznanie ze strony tego uczonego; żal wielki, że pozostała fragmentem. „Marzył Zakliński—jak mówi jeden z jego kolegów w nekrologu — o samodzielnem przedstawieniu historyi Ukrainy ze stanowiska ukraińskiego, widząc, że dotychczasowi polscy i rosyjscy badacze traktują ją tylko jako dodatek do dziejów bądź to Polski, bądź Rosyi. Śmierć wszakże nie pozwoliła mu nawet zacząć tego dzieła, chociaż materyały ciągle gromadził.“

Po śmierci Zaklińskiego ocknęło się założone przez niego kółko a głównie pod przewodnictwem kolegów zmarłego: dra Kalitowskiego i Włodzimierza Kocowskiego (znanych już i rokujących wielkie nadzieje na polu rusińskiego piśmiennictwa) i zorganizowało się jako „Kółko historyczno-literackie.“ Prawda, najbliższy jego cel: zebranie i opracowanie jak najdokładniejszej bibliografii galicyjsko-ruskiej—nie może samą swą naturą wywoływać tego zapału, jaki krzesało kółko Zaklińskiego, lecz obiecuje ważne korzyści dla każdego przyszłego pracownika na polu rusińskiej oświaty i nauki.

Daleko więcej życia szerzą dwa inne grona, zawiązane z końcem ubiegłego roku przy temże „Akademickiem bractwie,“ mianowicie: „Kółko etnograficzno-statystyczne“ i „Kółko dla urządzania wakacyjnych wędrówek młodzieży po kraju.“ Pierwsze, złączone za inicyatywą Iwana Franka, liczy obecnie około 100 członków rzeczywistych i korespondentów, odbyło już kilkanaście bardzo licznie uczęszczanych zgromadzeń, na których uczestnicy mieli odczyty z etnografii i statystyki. Wymieniam ciekawsze: Statystyka jako metoda i jako nauka; Przegląd i treść materyałów etnograficznych, wydanych przez Akademię umiejętności w Krakowie; Krytyczny rozbiór pracy p. Kleczyńskiego o stosunkach włościańskich w Galicyi; Stosunki rolne na Ukrainie według pracy Janzona; O czarach i czarownicach w Europie, a osobliwie w Polsce i na Rusi; Streszczenie pracy M. Dragomanowa: ukraińskie pieśni ludowe o sprawach społecznych w XVIII i XIX stuleciu; Streszczenie pracy Iw. Franka o niewoli kobiecej w pieśniach ruskich ludu galicyjskiego; Folk-love we Włoszech i Francyi w najnowszych czasach (referat nadesłany przez M. Dragomanowa), wreszcie dwie obszerne prace I. Franka: Historya powstania polskiego w r. 1846 i Historya zniesienia pańszczyzny w Galicyi. Prócz odczytów Kółko to stara się także o zgromadzenie dobrej biblioteki w dziale etnografii słowiańskiej i statystyki Galicyi i Ukrainy, zbiera dla tych działów dokładną bibliografię, gromadzi materyały etnograficzne (pieśni, powieści ludowe itp.) i statystyczne (tak np. przygotowywa obecnie statystykę pożarów w Galicyi za ostatnich 10 lat i rozesłało kwestyonarze po całym kraju dla zbadania obecnego stanu czytelni ludowych i bractw cerkiewnych, które wzbudziły wszędzie niezwykłe zajęcie i na które już zaczęły wpływać liczne i bardzo ciekawe odpowiedzi); wreszcie zamierzyło pomimo szczupłości swych materyalnych środków rozpocząć ogłoszenie drukiem wszystkich prac zmarłego Włodzimierza Nawrockiego, pierwszego i nadzwyczaj zdolnego pisarza galicyjsko-ruskiego w dziale etnografii i statystyki. Wydanie to już się rozpoczęło i niebawem pierwsza jego część będzie ukończona. Zamierza też Kółko z czasem i własne prace drukować. Jego inicyatorowie usiłowali także na polu etnografii słowiańskiej połączyć oba obozy naszej młodzieży, na które ona, niestety, dotychczas jest rozbitą i wyrwać t. z. rusofilów z sennej apatyi i drzemki umysłowej; usiłowanie to jednakowoż po kilku próbach rozbiło się o niechęć tych panów. Słyszymy obecnie, że za przykładem rusinów zamyśla gorętsza i szczersza część młodzieży polskiej, skupionej w „Czytelni akademickiej,“ stworzyć i u siebie podobne kółko, które gdyby rzeczywiście przyszło do skutku i należycie pojmując swoje zadanie, zawiązało przyjacielskie stosunki z rusińskiem, usuwając na bok wszelką politykę — mogłoby kiedyś istotnie przyczynić się do budowy tego „mostu pojednania“ między inteligencyą rusińską i polską, o którym dotychczas tak długo i bezskutecznie marzono. Tylko dokładna znajomość obu narodów i szczera, wspólna praca na polu nauki i realnych potrzeb ludu może taki most zbudować na trwałych podwalinach. Miejmy nadzieję, że to się stanie!

Drugie ciekawe kółko, zawiązane z końcem ubiegłego roku, jak już nadmieniliśmy, urządza wędrówki wakacyjne. Stworzyła je młodzież gimnazyalna ruska, a głównie p. Simenowicz, uczeń 8-ej klasy. Młodzież ta już poprzedniego roku na własną rękę przygotowała wycieczkę ze Stanisławowa na Czarnogórę, a przedsięwzięcie to, chociaż pozbawione należytego kierownictwa, prawie przypadkowe, udało się jednak bardzo dobrze i zjednało powszechną sympatyę. Obecnie zawiązano dla podobnych wędrówek na przyszłe ferye osobny komitet pod przewodnictwem młodego, utalentowanego poety Hilariona Hrabowicza. Ogłoszono już plany i kosztorysy dwu wycieczek: jednej, która ma rozpocząć się z Drohobycza i po zwiedzeniu kopalń nafty w Borysławiu, przedhistorycznych zabytków kamiennych w Uryczu, Rozhurczu i Bubniszczach dać koncerty połączone z odczytami dla włościan i deklamacyami w czytelniach ludowych w Korczynie i Bolechowie; drugiej zaś — ze Stanisławowa przez Kołomyję na Czarnogórę, również z koncertami, odczytami itp. Komitet prócz tego odniósł się listownie do rozmaitych osób i stowarzyszeń z prośbą o pomoc. Ponieważ w wyprawach tych weźmie udział także znaczna ilość członków Kółka etnograficzno-statystycznego, można się i dla obu tych nauk spodziewać ciekawego plonu.

Dla dopełnienia tego obrazu działalności młodzieży rusińskiej, wspomnę jeszcze o utworzonym niedawno z ramienia towarzystwa „Proświty“ komitecie, który ma się zajmować specyalnie czytelniami ludowemi. Przewodniczy mu B. Nahorny. Uchwalono utworzyć chór śpiewaków, którzyby uświetniali walne zgromadzenia i wieczorki wiejskich czytelni, jako też wypracować szereg odczytów popularnych o różnych przedmiotach, z którymi by również członkowie objeżdżali wioski, roznosząc po nich światło wiedzy. Działalność tego komitetu rozszerzy się i stanie sympatyczniejszą, kiedy Kółko etnograficzno-statystyczne zgromadzi potrzebne materyały i przedstawi cyfrowo ich obecny stan i rozwój. Niezależnie od tego, zawiązał się w ubiegłym miesiącu inny komitet, mający czuwać nad kramikami wiejskimi i wpływać na ich zakładanie; dotychczas atoli o jego działalności nie wiemy niczego dokładnie.

Z przedstawionych tutaj faktów czytelnik, spodziewam się, łatwo wysnuje sobie wnioski o kierunku i rodzaju tego ruchu, jaki obecnie rozbudził się między rusinami galicyjskimi. Naszem zdaniem, ruch ten o tyle jest ważnym i o tyle ma podstawy trwałości, o ile idzie od inteligencyi w kierunku ludu i w kierunku prawdziwego postępu, niezabarwionego, jak to dotychczas bywało, zaciętemi sprzeczkami o rzeczy błahe, o formalności lub o jakieś marzenia przyszłościowe. Śród inteligencyi rusińskiej zaczyna on obecnie rzeczywiście być takim, ludzie, którzy dawniej wyrzucali za okna chociażby najlepszą książkę, jeżeli tylko była drukowana pisownią fonetyczną, obecnie nie dbają o pisownię, lecz szukają rozumnej treści. Tylko w „starowiarskich“ pismach, *Słowie* i *Prolomie*, od czasu do czasu pojawiają się przedawnione drwiny z fonetyki, z ukrainofilów lub też insynuacyjne artykuliki o „polskiej intrydze,“ o „dragomanowskich agitacyach“ — lecz rzeczy te nikogo już nie przerażają, wywołując tylko uśmiech politowania, tem więcej, że strona zaczepiona zwykle nie uważa za potrzebne nawet odpowiadać na podobne ataki.

Myron.

Z FRANCYI.

Lyon, 7 kwietnia.

Nowy kandydat do wywróconego tronu.— Straty Akademii. — Nowe książki. — Zajęcie się francuzów niemcami. — Kłopoty wewnętrzne. — List Gambetty. — *In carcere duro.*

Ogólnie uznanem jest zdanie, że w naszych czasach legendy mniej mają popytu, niż w wiekach średnich; a jednak... Nie licząc dawniejszych, którym tysiące, miliony dochowują ślepej wiary, bywają podania świeższej daty, wczoraj, dziś nawet stworzone, cieszące się uznaniem stronnictw nieraz liczbą poważnych. Taką jest np. legenda o synie Ludwika XVI-go. Po straceniu ojca na szafocie rewolucyjnym, dziewięcioletni książe normandzki, uznany królem przez stronników monarchii jako Ludwik XVII, przeżył w więzieniu półtora roku i umarł 8-go czerwca 1794. Zaświadczyła to fakty historya. Dramatycznie opisał je w nowo wydanem dziele p. de Chantelauze (*Louis XVII, son enfance, sa prison et sa mort au Temple*). Sumienny historyk Maryi Stuart i kardynała de Retz wydał pracę naukową, ciekawość czytelnika trzymającą w natężeniu od pierwszej kartki do ostatniej opowieścią dzieciństwa potomka

królewskiego w Wersalu, dzikich scen, których był świadkiem, uwięzienia całej rodziny w *Temple*, procesu króla i śmierci jego. Po ścięciu monarchy szczególnie rozwijać się zaczynają żywo obrazowane sceny: zabranie syna Maryi-Antoninie i oddania go pod opiekę szewca Simona (nawiasem powiedziawszy, bezinteresownego obywatela i bynajmniej nie tak okrutnego, jakim go legenda przedstawia), powtórne uwięzienie go, rozwinięcie się choroby tkwiącej w organizmie dziecka i wreszcie fatalny jej koniec. Ważność historyczna polega głównie na ostatecznem rozproszeniu wszelkich wątpliwości co do śmierci delfina stwierdzonej nowemi, nieznanemi dotychczas świadectwami naocznych świadków jego zgonu, autopsyi ciała i pogrzebania. Dzieło to przyczynić się musi do zniszczenia legendy o zamianie dokonanej jakoby w więzieniu i podstawieniu dziecka obcego w miejsce królewicza. A trzeba przyznać, że ukazało się ono na czasie: w tych dniach właśnie przybył do Paryża najstarszy syn domniemanego Ludwika XVII-go, głośnego w swym czasie Naundorffa, pogrzebanego w mieście Delft w (Holandyi) pod nazwiskiem i tytułami Karola Ludwika de Bourbon, księcia normandzkiego. Książe Karol, jak się syn jego tytułować każe, zajechał w Paryżu do jednego ze swych wiernych poddanych, bo mimo straty dwóch procesów, wytoczonych księciu Chambordowi w latach 36 i 74 (bronionych przez Juliusza Favre), syn fałszywego delfina ma jeszcze stronników. Przybył do Paryża w celu nowego upominania się o swe prawa na drodze sądowej przeciw hrabinie Chambord i hrabiemu Paryża. Jeden więc kandydat więcej: od przybytku głowa nie boli.

Akademii francuskiej za to ubywają członkowie jeden po drugim. Najstarszy z nich, historyk Mignet, umarł 24 zeszłego miesiąca. Urodzony za Dyrektoryatu w r. 96, był jednym z ostatnich przedstawicieli innej przeszłości: pamiętał pierwsze cesarstwo, i przybywszy w r. 1821 z Thiersem do Paryża, brał udział osobisty w zaburzeniach owoczesnych. Nie był to jednak charakter ambitny. Uniesiony przez chwilę prądem rewolucyjnym, zatrzymał się wkrótce na miejscu. Mimo ścisłej przyjaźni, łączącej go z Thiersem, wcześnie porzucił politykę i oddał się całkowicie badaniom historycznym, do których pod ręką znajdował plon obfity; przed 30 rokiem bowiem mianowany został dyrektorem archiwów królewskich, później zaś sekretarzem wieczystym Akademii nauk moralnych i politycznych, i urząd ten piastował do śmierci. Mignet dał poznać się się w 1824 r. gruntownie opracowaną *Historyą rewolucyi francuskiej od 1789 do 1814*, tłomaczoną na wszystkie języki. Do śmierci pracował; w 80 roku życia rozpoczął *Historyę reformacyi*, dotąd niewydaną.

Mignet był erudytą, historykiem uczonym; większą bezzaprzeczenia sympatyę budzi Michelet — historyk-poeta. Umarł on już przed dziesięciu laty i w pamięci potomnych zaciera się jego imię pomału, ale wdowa zebrała po nim wspomnienia młodości i wydała je pod tytułem *Ma jeunesse*, par Jules Michelet. Ofiarowała je młodzieży — „tym, którzy chcą zostać ludźmi.“ Rzeczywiście, postać wielkiego badacza wydobywa się z tych wspomnień przykładem jasnym i pouczającym. Geniuszem, pracą, miłością ojczyzny i ludu, Michelet stanął wysoko; lecz jak twardą przebył szkołę! „Dzieciństwo moje da się streścić w trzech słowach: do lat piętnastu, brak wina, brak chleba, brak ognia.“ Nie skarży się nigdy; nie rozpisuje się i nie deklamuje na wzór Rousseau'a, którego był uczniem. Niedostatek i cierpienia młodości zabarwiły tylko poglądy jego pewną melancholią; lecz od najmłodszych lat karmiona nauką poważną i filozofią, melancholia ta nazewnątrz w sobie nic słabego; działa na zewnątrz i promienieje w czynnej dla ludzkości sympatyi. Pani Michelet obiecuje nam dalszy ciąg tych wspomnień, bo pierwszy tom doprowadza je tylko do roku 1818. Jestto jeden z rzadkich utworów dzisiejszej literatury, po których człowiek czuje się pokrzepionymi odważniej w przyszłość patrzy.

P. Blanchard profesor wydziału lekarskiego w Paryżu wydał książkę o uniwersytetach niemieckich. Różni się ona formą i duchem od pracy o. Didona. Mniej frazesów, więcej faktów. Wyczerpująco traktuje o ustroju wewnętrznym wszechnic niemieckich, o stosunkach wzajemnych profesorów ze studentami, o mianowaniu pierwszych, budżecie itp. Na paru humorystycznych kartkach, opisuje dziwaczne obyczaje burszów — słowem — przedstawia rzetelny obraz stanu nauk wyższych w państwie niemieckim. Innem wydawnictwem tejże gałęzi są *Niemcy ilustrowane* słynnego geografa Malte-Brun. Nic tak dokładnego o Niemczech nie ukazało się jeszcze we Francyi; część wojskowa szczególnie, koleje żelazne, wskazówki handlowe i przemysłowe podane są z sumiennością wielką. Zaznaczyć warto żywe zajęcie się francuzów wszystkiem, co dotyczy nieprzyjaciół z za Renu. Ciężko skarani za nieuctwo wojną 70 r., uważają sobie za obowiązek patryotyczny poznanie wroga jaknajdokładniejsze. Wprowadzono do szkół język niemiecki, jako przedmiot obowiązujący, pojawiają się ciągle rozprawy o społeczeństwie, instytucyach, kraju, sztukach i literaturze niemieckiej.

W liście poprzednim pisałem o bezrobociu anzińskiem; zamiast uśmierzać się, przybiera ono coraz to szersze rozmiary. Żywioły obce mieszają się, niestety; robotnicy niechcący porzucać pracy narażają się na zemstę kolegów. Dwaj markizi, Rochefort i Talleyrand-Périgord, jeździli razem do Anzinu: pierwszy dla przewodniczenia zebraniu, drugi z ofiarą 5,000 franków na korzyść zbuntowanych. Nędza panuje wielka, kobiety i dzieci po drogach żebrzą. Pomimo to, na ogólnem zebraniu uchwalono wytrwać w oporze. W ostatnich dniach zaburzenia przybrały charakter groźny. Piątego kwietnia tłum, złożony z 3.000 „grewistów,“ otoczył jedno z wejść do kopalni, dla zatrzymania pod ziemią robotników, którzy się tam spuścili. Oddział wojska rozpędził ich, lecz obrzucono go kamieniami i błotem. Robotnicy pracujący winni ocalenie jedynie tej pomocy. Ostatnie depesze donoszą, że ludność się uspokoiła; czy to długo potrwa? czy potrwać może? Kompania stanowczo ustępstw odmawia, a komitet bezrobocia wysłał do Anglii dwóch delegowanych po pomoc pieniężną, obiecaną przez komitety Trades-Unions. Dodajmy wreszcie, że wczoraj, na publicznem zgromadzeniu w Paryżu, pod przewodnictwem p. Henryka Maret, deputowany Gaillard zaproponował jako jedyny środek roztrzygnięcie sprawy sądem polubownym (*arbitrage*), zaręczając, że się robotnicy zgodzą. Wniosku nie przyjęto, lecz nie podano innego.

Nie wiele mi pozostaje do zaznaczenia nowego. Izby rozchodzą się w tym tygodniu z powodu świąt wielkanocnych. Po za Izbą, skrajna lewica wciąż usiłuje na pierwszy plan wysunąć sprawę rewizyi konstytucyjnej. *Matin* ogłosiło z tego powodu list Gambetty, pisany do p. Naqueta w lutym r. 1882, nazajutrz po upadku „wielkiego ministeryum.“ Pismo to mówi o rewizyi i o demokratycznym ustroju Rzeczypospolitej. Podczas wakacyj parlamentarnych odsłonią w Cahors pomnik, wzniesiony zmarłemu patryocie; na inauguracyę zjedzie Ferry i czterej jego koledzy z ministeryum.

W imię wolności ujęła się solidarnie prasa francuska o jednego ze swych przedstawicieli, wtrąconego we Włoszech *in carcere duro*. Pan Henryk des Houx, żarliwy rojalista, lecz żarliwszy jeszcze katolik, założył w Rzymie *Dziennik Watykanu*; zanadto jednak gorliwie bronił, jak widać, sprawy papieskiej, gdyż kazano go przyaresztować i wsadzić między prostych złodziei i rzezimieszków. P. des Houx już we Francyi napadał na władze brutalnie i gwałtownie w piśmie *Defense*. Lecz rząd republikański nie raczył się zajmować obelgami tego Veuillota podłego gatunku. W Rzymie lepiej mu się udało. Panuje tam rząd monarchiczny, do którego p. des Houx wciąż wzdycha, i to, co Rzeczpospolita obojętnie przyjmowała, obruszyło monarchię. P. des Houx się skarży; źle robi: daje przeciwnikom sposobność do porównań.

A. M.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Wł. Bełza. **Kronika potoczna i anegdotyczna z życia Adama Mickiewicza** na podstawie opisów wiarogodnych świadków. Lwów, nakładem Seyfartha i Czajkowskiego, 1884, str. XV i 262 w 8-ce małej.

Książka niniejsza należy do banialuk literackich z przeszłego wieku, kiedy to jeszcze lubowano się w tego rodzaju kronikach i anegdotach o wielkich ludziach. Nie wartoby było pisać o niej, gdyby nie obowiązek społeczny. Wydawca swojskiej i importowanej *Antologii* używa tu rozpowszechnionego u nas fortelu dla przemycania towaru literackiego w złym gatunku. Wypuszcza w świat bogato uposażoną książkę z tem przekonaniem, że wytworny papier, ozdobny druk i świetne ilustracye *lipskie* zawiodą jego szczęśliwe dziecko wprost do eldorada — salonów. I nie rachuje fałszywie. Przecież śmietanka towarzystwa nie zechce walać sobie rąk dziełami, drukowanemi na takim papierze, jak np. *Prawda*. Pieniądze to grunt — resztę dokaże protekcya „wysoko położonych osób“ a więc „hołd złożony“ przez autora „Jaśnie Wielmożnemu M. Zyblikiewiczowi, doktorowi praw, marszałkowi krajowemu, komandorowi włoskiego orderu korony, honorowemu obywatelowi miasta Krakowa“ itd. Pan Bełza idzie dalej. Dla zjednania sobie łaski samych uczonych, zajmujących wysokie stanowiska — pod ich skrzydłami tak ciepło i wygodnie — cytuje ich gęsto, choć tego potrzeba nie wymaga. Powołuje się często na „piękną pracę“ Małeckiego „pierwszego biografa Mickiewicza“ (?) tudzież na „wyborny i *nader szczegółowy rys* biograficzny poety, skreślony przez zasłużonego bibliografa.“ „Świadectwa tych osób — powiada naiwnie autor — nie podpadają żadnemu podejrzeniu.“ Przenosimy się w złoty wiek scholastyki i powag naukowych! Zaszczytu tej nieomylności naukowej dostępuje naturalnie i przyjaciel autora p. Kantecki. Nie zapomniano też podkadzić trochę Biegeleisenowi, Ziembie i Tretiakowi z wdzięczności za ich „piękne studya,“ które „wielkie oddały usługi literaturze,“ w istocie zaś żeby ich sobie nie zrazić. Wszystko głęboko obmyślane, lecz przypatrzmy się zawartości samej „Kroniki.“

Jestto zbiór bajek i dyktyryjek o Mickiewiczu, błąkających się po różnych pismach, bez najmniejszej wartości naukowej. Jest ich aż przeszło 300 w chronologicznym szeregu, a wszystkie na „wiarogodnych“ oparte świadectwach. Niestety wydawca „Kroniki potocznej i anegdotycznej“ nie zdaje sobie sprawy z tych „wiarogodnych“ świadectw. Do tego trzebaby zajrzeć w głąb źródła, a p. Bełza ślizga się tylko po wierzchu gładkiego parkietu literackiego. Za „wiarogodne“ fakty poczytuje zamglone wspomnienia starców, spisane w kilkadziesiąt lat po wypadkach i spa-

czone relacye ludzi oddalonych miejscem i stosunkami, stawiając na równi artykuły dziennikarskie przeszłego roku ze współczesnemi wiadomościami najbliższych poecie osób. Materyałów ostatniej kategoryi jest najmniej w tem *mixtum compositum*, zmieszanem ręką i zmysłem kronikarskim. Trudno rzeczywiście dać wyobrażenie czytelnikowi o tym steku błahych wiadomostek, składających „potoczną i anegdotyczną kronikę z życia Mickiewicza.“ Są to po większej części plotki, figliki, bajeczki, anegdotki w najlepszym wypadku — fakty oklepane, albo nic niemówiące. Bo pytam, co komu przyjdzie z doniesień tego rodzaju: Mickiewiczowi ucięła akuszerka pępek na książce. Będąc w Genewie, kupił on sobie zegarek — potem darował Odyńcowi swój stary płaszcz — przy obiedzie miał apetyt i zachwalał zupę z piwa — w słotę miał buty zabłocone — zapalił sobie fajkę albo cygaro—było mu gorąco albo zimno—ubrał się w nowy kapelusz albo zdjął palto — potknął się i mało co nie upadł, itp. aż do końca. Wydawca *Kroniki* o Mickiewiczu w bałwochwalczej czci dla wieszcza narodowego nie przypuszcza, żeby genialny twórca *Pana Tadeusza* spełniał funkcye życiowe jak zwykły śmiertelnik. Przypisuje mu też „dar proroczy“ widzeń, przeczuć i przepowiedni. Widziadła te, snujące się po głowie wydawcy, mają raz „kształt jak gdyby wewnętrznego głosu,“ który poczuł w sobie poeta „współdrzymiąc u x. Bazylianów;“ innym razem jest to głos z zewnątrz, wyraźny i potwierdzony potem przez gazety (str. 58). „Przeczucia i przepowiednie — powiada pan Bełza — grają ważną rolę w życiu Mickiewicza,“ stwierdzając to zdanie następującymi dowodami: Gdy na zebraniu jednego z kardynałów w Rzymie rozprawiano o wypadkach 30 roku, gospodarz jako człowiek duchowny zapytał o wróżbę w tej rzeczy Pisma św. Wtedy Mickiewicz otworzył Biblię i trafił (*przypadkiem*) na ustęp, w którym kaleka odpowiada Chrystusowi: *Domine hominem non habeo.*

Fakt ten, wyssany z palca, „wprawia w zdumienie“ p. Bełzę (str. 120) i Gąsiorowskiego, „gdyż poeta wywróżył tu najlepiej losy powstania, które upadło dla braku przewódcy.“ Przykładów takich wróżb jest co niemiara. Raz wyprokował Mickiewiczowi przyszłość „tom Byrona“ (str. 121) drugi raz wywołuje w nim samym przepowiednię „widok cholerycznego!“, innym razem (str. 226) „przepowiada powrót i wyniesienie Napoleonów.“ Mickiewicz ma widocznie w mózgu komórkę *ad hoc* „z osobnym darem jasnowidztwa.“ W 1855 roku śnił mu się przyjaciel młodości. Pan Bełza, opowiadając o tem, dodaje: „przeczucia więc nie omyliły go“ (str. 229). Podczas improwizacyi w 1840 r. „widział Mikulski Izydor nad głową Adama *światłość*. Improwizacya ta było coś *nad*przyrodzonego“ (str. 160). Cofamy się w czasy kronikarskie, kiedy z tą samą wiarą i nie mniejszą skrzętnością zapisywano wszystkie cuda, widziane na ziemi i na niebie.

Poznaliśmy wiarę autora; przypatrzmy się jeszcze jego logice. „Mickiewicz — powiada p. Bełza—urodził się w Zaosiu.“ Aby dowieść tego zdania, przytacza świadectwo samego poety: „urodziłem się *i wychowałem w Zaścianku*“ (!); potem następuje wiersz, który napisał Mickiewicz „o *Zaosiu* bezwątpienia myśląc:“

„Polały się łzy moje czyste, rzęsiste
Na moje dzieciństwo *sielskie*, anielskie“ itd.

O tym słynnym wierszu i o jego zastosowaniu dowiedział się p. Bełza dopiero przeszłego roku z *Tygodnika ilustrowanego* (r. 1883!). Przez zestawienie obok siebie różnorodnych plotek bez krytyki powstają komiczne sprzeczności. Tak np. ma Mickiewicz raz czarne oczy (str. 63), drugi raz niebieskie (str. 202). W tym samym czasie „ma zupełnie powierzchowność tego *in quo natus*: zaściankowego szlachcica“ (str. 203) to znów padają plackiem przed nim muzułmanie, choć go zupełnie nie znają jedynie dla jego imponującej postawy (str. 250 i 192). Wiadomości te czerpie autor z drugiej, z trzeciej a czasem i z czwartej ręki. Szczegóły np. o czasach szkolnych Mickiewicza u Dominikanów w Nowogródku opowiadał Wierzbicki *90-letni starzec* swemu szwagrowi Sliziеniowi, ten powtórzył to ks. J. Siemieńskiemu, a dopiero od tego ostatniego ma te szczegóły (same przez się nic nieznaczące) wydawca *Kroniki potocznej*. Historya pojedynku Mickiewicza z Puttkamerem dostaje się taką drogą do niego: „Zdarzenie to opowiadał Kowalewskiemu Łoziński, Kowalowski powtórzył je Prusinowskiemu, od którego wiadomość przeszła“ do *Gazety codziennej*, z której czerpie p. Bełza. Nic dziwnego więc, że w całem jego opowiadaniu o pojedynku *niema ani odrobiny prawdy*. Tym sposobem dowiadujemy się z *Kroniki* banalnych rzeczy o Mickiewiczu. Między innemi — jak „Mickiewicz wypędził Słowackiego za drzwi słowami: Paszoł won durak!“, jako jeszcze „w szkołach niższych będąc czytał *wszystkie* dzienniki krajowe i zagraniczne“ i „był obeznany ze *wszystkimi* wypadkami tak wojennymi jakoteż politycznymi,“ jakto „wszyscy niemal profesorowie przy uniwersytecie wileńskim, obydwaj Śniadeccy na ich czele, wystąpili przeciw Mickiewiczowi“ a on się ratował przejściem na wydział filologiczny (!). Słowem wydawca *Kroniki* rozpowszechnia fałszywe wiadomości między publicznością i tak jeszcze niedokładnie obznajomioną z życiem i działaniem wielkiego poety. Nie usprawiedliwia go okoliczność, że plotki te są wyjęte z „wiarogodnych“ źródeł, a niektóre części (od str. 92 — 120 od 228 — 236 itd.) wprost przepisane (z Odyńca i ze *Wspomnień* Maryi Goreckiej), bo taki materyał trzeba najpierw krytycznie zanalizować a potem przetrawić, zanim się poda czytelnikom. Nie można na tych opowiadaniach polegać, bo za zbyt oderwane, nieraz źle wypisane (por. list Mickiewicza do Odyńca „z jesieni 1834“ z listem tym cytowanym przez p. Bełzę na str. 145) *i ani razu* nie przytoczone dokładnie. Wiadomości końcowe z listów pisanych do autora — których zbiór pospieszył za życia swego ogłosić — są bardzo mętne, (np. wątpliwości Libelta o bytności Mickiewicza na prelekcyi Hegla) a autorstwo pieśni „Trzy puhary“ przez Mickiewicza więcej niż podejrzane. Portret Maryli sentymentalnie zidealizowany jest tak fałszywy jak wszystko, co wyjdzie z ust i z ręki Niewiarowicza, z którym Mickiewicz grywał w szachy z nudów. W końcu dodam, że p. Bełza nie umie nawet chronologicznie ułożyć swego materyału (str. 14, 18, 20, 157 i 191).

B.

LIBERUM VETO.

Święta wielkanocne.—Omydlone słupy.—Nauka mojego Smoka i przestroga księdza.—Konkursy pp. Blocha i Kronenberga.—Wzgarda w dobrych chęciach.—Opis zabaw ludowych.—Do kroniki czasu.—Młot w rękach Nemezys.—Skarga Kraszewskiego.—Orłowski i Rapacka.—Przysmaki prasy. Karykaturalne fotografie.—Brak siły umoralniającej.—Wypadek w szkole.—Nieposzanowanie dla synowskiego uczucia.—Przesadna surowość.—Srogi nauczyciel i uczeń z oberwanem uchem.—Złamani.

Święta wielkanocne stanowią tak daleco odmienną od innych chwilę w roku, że przez kilka dni nietylko przejadamy się, ale nawet urządzamy kosztem publicznym zabawę miejskiemu ludowi. Zapewne cały kraj wie o tem, że municypalność warszawska oddawna wkopuje na Placu ujazdowskim dwa słupy, posmarowane szarem mydłem, na które usiłują wleść mocni w nogach i w rękach a żądni zdobycia zawieszonej w górze nagrody: czarnego garnituru, cylindra, zegarka i butelki wina. Chociaż cały ten strój, nabywany drogą licytacyi, nie wart jest porządnej chłopskiej kapoty i nieraz przez całą noc na otwartem powietrzu moknie, zanim się dostanie zwycięscy—budzi głęboką zazdrość w zapaśnikach niedopuszczonych lub pokonanych i stanowi przedmiot serdecznych marzeń połowy czeladników mularskich. Będąc młodym jeszcze chłopcem, tresowałem sobie psa i między innemi sztukami uczyłem go skakać w górę, przywiązawszy do podniesionego kija kawałek mięsa. Już mój Smok doszedł do wielkiej w tym kierunku doskonałości, gdy podczas jednego z takich popisów obecny ks. R. (bardzo rozumny człowiek) zrobił mi uwagę:

— Dlaczego ty mu mięsa z ręki nie dasz?

— Dlatego, żeby skakał.

— A na cóż ta umiejętność przyda się psu i tobie?

Rzeczywiście nie umiałem się z mojej pedagogii wytłomaczyć.

— Nie żałuj nigdy—mówił dalej ksiądz—ani ludzkich, ani psich trudów, ile razy one prowadzą do jakiegoś rozumnego celu, ale nie marnuj ich, gdy są daremne i w dodatku upadlają. Twój Smok zdolnością skakania niczego nie dokaże a straci odrobinę godności, którą nawet w zwierzęciu szanować należy.

Jakkolwiek poczciwy ksiądz R. kształcił mię długo w hodowli pszczół, z której nigdy nie korzystałem, jego wszakże uwaga utkwiła mi w pamięci i przypominała się zawsze, kiedy widziałem osmarowane mydłem słupy na Placu ujazdowskim. Naprzód: po co to? a powtóre: czy w owym turnieju nie wyraża się kaprys człowieka, który zawiesza w górze mięso, względem głodnego psa, który chce je dostać i skacze? Nałogi są zwykle adwokatami głupstw, które rozum jako prokurator oskarża. Przyzwyczailiśmy się do widoku konkursów ujazdowskich i wydają się one nam bardzo niewinnymi. A jednak proszę sobie wyobrazić, że p. Bloch lub p. Kronenberg, wogóle posiadacze wielkich środków, urządzą taką np. zabawę ludową: kto przewróci dwieście koziołków z rzędu, dostanie rubla; kto zje szczura pieczonego, otrzyma roczny bilet wolnej jazdy na kolejach; kto wysiedzi pół kopy kurzych jaj, nabędzie prawo do bezpłatnego jadania w kuchni taniej; kto na czworakach pierwszy dobieży do kolumny Zygmunta przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście—zdobędzie konia itp. — co byśmy powiedzieli o takich konkursach, chociaż z pewnością każdy z nich miałby amatorów? A przecież włażenie na słup wymydlony nic jest niczem lepszem, chyba o tyle jedynie, że ma za sobą tradycyę. Ach, ta tradycya, ten płaszcz żelazny, który ciąży na naszych ramionach i poruszać się swobodnie nie pozwala! Ona to, niestety, nauczyła nas gardzić ludem nawet wtedy, gdy go uszczęśliwić chcemy. Wywikłajmy się na chwilę w przesądów i pomyślmy nad tym obrazem, w którym ciemny i ubogi tłum oblega wymydlone słupy z marną na ich wierzchu zdobyczą, wznosząc ku niej oczy, jak gromada psów ku zawieszonej na wierzchu sosny wiewiórce, podczas gdy inteligentna publiczność z powozów i dorożek przypatruje się z uśmiechem wysiłkom zapaśników. Dwu dolazło do szczytu — brawo! — masz konia, boś na czworakach pierwszy przyleciał do kolumny Zygmunta. Dzielny był mój Smok, gdy podskakiwał na trzy łokcie w górę do mięsa! Tylko ksiądz R. go nie chwalił...

Ale na Placu ujazdowskim były inne jeszcze „zabawy ludowe.“ Posłuchajmy, co o nich mówi stróż tradycyi, *Kuryer warszaw-*

ski: „Prostopadle do alei rząd huśtawek i drugi równoległy szereg krytych i odkrytych karuzeli, na uboczu jeden młyn dyabelski, wzdłuż drogi wiodącej do Łazienek kilka bud restauracyjnych *vulgo* piwiarni i szynkowni, pracownia wydająca fotogramy na poczekaniu, i strzelnica, a w głębi przed szpitalem w innym szeregu naprędce skleconych namiotów „Pluton, bożek ognia,“ teatr maryonetek w najodrapańszej w świecie budzie, panoramy po większej części z czasów ostatniej wojny tureckiej i inkwizycyi hiszpańskiej, sztuki magiczne najpodrzędniejszej kategoryi oraz menażerye ze „zwierzętami zamorskiemi,“ jak tańczące niedźwiedzie i wilki—oto podobno cały program rozkoszy, które przedsiębiorcy tego rodzaju zabaw przygotowali dla ludu warszawskiego na dwa tygodnie świąteczne. Wszystko to samo, co było w roku przeszłym, zaprzeszłym i dawniejszych, wszystko to samo, co na najlichszych jarmarkach widywać można, zapewne nie w tak wielkiej ilości, ale nie w gorszym gatunku.“

Trzebaby to zapisać do kroniki czasu naszego, ażeby potomność wiedziała, jakie biesiady wyprawialiśmy ludowi stołecznemu, jaką opieką otaczaliśmy jego wolne chwile od ciężkiej pracy wtedy, gdy najwięcej rozprawialiśmy o konieczności poprawienia jego doli. Spacerowaliśmy lub jeździli śród Alei ujazdowskiej jako świadkowie, przyjaciele i ojcowie chrzestni motłochu, który łaził po słupach, huśtał się w młynach dyabelskich, pił w szynkach, tracił pieniądze dla wydrwigroszów i oglądał potworności w nędznych budach. „Wszystko to samo, co było w roku przeszłym, zaprzeszłym i dawniejszych, wszystko to samo.“ Co za rozkosz pomyśleć o takiej sile tradycyi, i co za szkoda, że Nemezys bierze czasem młot i rozbija ją nielitościwie! Gdy lud za długo pracuje i bawi się jak zwierzę z musu, potem pracuje i bawi się jak zwierzę z gniewu.

Kraszewski wytacza w *Świcie* proces całej prasie dziennej za lubowanie się w opisach zbrodni i zgnilizny moralnej. Rzeczywiście, mordercy, złodzieje, oszuści są jej ulubionymi bohaterami nietylko u nas, ale i w całej Europie. Hugo Schenk — ba, po co za przykład stawiać takie znakomitości! — nasz marny Orłowski niemniej zajął w pismach miejsca od Rapackiej. Trzymam największy zakład, że wydam obszerne dzieło, oryginalne lub tłomaczone, i wiele dzienników nie wspomni o niem ani słowa, podczas gdy wizerunek najzwyklejszego zbója odrysowany będzie przez nie w najrozmaitszych pozach. Jeżeli czytelnicy naszej prasy, spożywający raz albo dwa razy na dzień wiązkę kradzieży, skaleczeń, bijatyk, morderstw, nie wpadają w najczarniejszą rozpacz, to swą równowagę moralną zawdzięczają wyłącznie przeświadczeniu, że po za tą panoramą występków snują się jeszcze inne, jaśniejsze nici naszego żywota. Z drugiej wszakże strony przyznać trzeba, że już nie samo „państwo duńskie“ — jak mówi Hamlet — gnije w wielu miejscach. Prasa jest karykaturalnem odbiciem rzeczywistości, ale jej rysy przypomina, lubuje się w zbrodniach, ale ich nie zmyśla. Ponieważ zaś zapudrowywać trądu nie powinna, ażeby ogółu nie łudzić fałszywymi pozorami jego zdrowia, zatem przykrzejszym od jej gustów objawem jest fakt rosnącego zepsucia. Zgnilizna szerzy się gwałtownie w tych kręgach społeczeństwa, w których panuje zdziczała w ciemnocie nędza. Kiedy widzę tłum zgromadzony około słupów wielkanocnych, oblegający budy i szałasy, które go demoralizują, rozumiem, dlaczego ci, nawet w nauroczystszych swych biesiadach poniżeni ludzie, wróciwszy do domów, łamią sobie żebra, a wyszedłszy na ulicę, upatrują drzwi niestrzeżonych lub przechodniów samotnych, ażeby targnąć się na cudze mienie. Słyszę surowy głos karzącej sprawiedliwości, która winnych sadza do więzień lub wysyła na Syberyę — ona jest czynną, ale kto zapobiega przestępstwom, kto uszlachetnia lud? Pacierz stał się machinalnie i bezmyślnie odmawianemi słowami, kazalnica stereotypowym morałem — gdzież jest żywa i potężna siła. któraby rozlewała dobroczynne wpływy? Na... omydlonym słupie?

Siły takiej nie chciał, czy nie umiał wytworzyć w sobie p. W. Górski, kierownik prywatnej szkoły, wypędzając nieposłusznego ucznia, który go błagał o zamianę tej kary na inną, nawet najsurowszą, dla oszczędzenia przykrości chorej matce, i który schronił się do szewca na Woli, gdzie go dopiero po pięciu dniach zrozpaczeni rodzice znaleźli. Nie bronię chłopca, ale sądzę, że należało w nim uszanować to przywiązanie synowskie i nie popychać do kroku, który mógł mieć bardzo smutne następstwa właśnie dla matki. Cały wypadek zadziwia tem bardziej, że zdarzył się w zakładzie, który uchodzi za wzorowy. Wyrozumiałość, wyrozumiałość posunięta do stoicyzmu, powinna być pierwszą cnotą rozumnego pedagoga. Dziecko jest w znacznej części niepoczytalne, a jeżeli w niem nie rozdmuchamy jakiejkolwiek iskry szlachetniejszej, już jej zwykle potem życie nie rozpali. System wychowania ani w nowych metodach wykładu, ani w nowych urządzeniach szkolnych nie zrobił tak szczęśliwego zwrotu, jak usuwając zasadę Winnickiego. Miałem kolegę, któremu w pierwszej klasie nauczyciel oberwał przy tablicy do połowy ucho; i jakże ci ludzie potem stanęli względem siebie? Nauczyciel pozostał mizerną głową i łapownikiem, który za kubany dawał osłom celujące stopnie, a skaleczony przez niego uczeń wykształcił się na zdolnego inżeniera. Przesadna surowość narobiła wiele gwałtów, rozlała wiele krwi, sprowadziła wiele cierpień, ale nie była nigdy matką szczęścia ludzkiego. Tu dotknęła dziecko rodziców bogatych, więc nie złamała go; ale ileż jej biednych i zgubionych ofiar tuła się po świecie!

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Gdzie najlepiej przebywać lubi tradycya i życzenia *Gazety lubelskiej*.—Niekonsekwencya ich.—Korzystny handel szczeciną.—Logika *Gazety polskiej*.—Projekt ziemian dobrzyńskich.—Wrzekome matactwa żydowskie.—Chrześciańska wódka.—Apologia semitów i moje obawy.—Rozbójnicy i policya.

Widocznie poszanowanie do tradycyi najbujniej kwitnie w Lublinie, bo miejscowy organ aż w dwóch artykułach wierszem i prozą przesłał czytelnikom życzenia w dzień najradośniejszej uroczystości, która itd. Mniejsza zresztą o zachowanie zwyczaju, chodzi mi głównie o jego logikę. Bo doprawdy trudno pojąć, jakim sposobem wszystkim bez różnicy życzyć można szczerze, kiedy pragnienia ich i interesy stoją zwykle w otwartym przeciwieństwie z sobą? Jeżeli życzę p. Piotrowi wszelkiej pomyślności, to w tem mieści się i życzenie wygrania procesu z p. Pawłem.

Ot np. życzyłbym obywatelom ziemskim przeprowadzenia nowego projektu pożyczki Towarzystwa kredytowego, według którego, przez powiększenie mnożnika podatku gruntowego z 56 na 80, otrzymują oni około 38 milionow rubli, co da im możność spłacić znaczną część długów hypotecznych. Cieszyłbym się z tego szczerze, boć nie jestem żadnym lwem, czyhającym na zgubę rodzaju szlacheckiego. Powiem nawet prawdę, że zrazu ucieszyłem się nieco, ale, niestety, wpadł mi w ręce artykuł p. Węgleńskiego w *Wieku* i pod powiewem szczerych jego wyznań rozwiały się moje radości. I p. Węgleński cieszy się również z nowej pożyczki, ale pobudki jego zadowolenia są zupełnie inne i to, co jego raduje—mnie smuci. Dla niego napływ 38 milionów do kieszeni właścicieli ziemskich, a raczej do pugilaresów ich wierzycieli znaczy wzmocnienie stanowisk przyrodzonych przedstawicieli narodu, znaczy powstrzymanie szkodliwego (?) procesu parcelacyi, a nawet w odległej perspektywie zamianę gospodarstwa zbożowego na pastewne. Mnie zaś wszystkie te rozkoszne obrazy nie czarują zgoła. Mniejsza jeszcze o wzmocnienie stanowisk, bo do tego głowy niepotrzebne, ale jak tu pogodzić uzasadnioną zresztą zupełnie chęć szlachty utrzymania się przy posiadanej ziemi z dążeniem chłopów do nabycia jej, o ile można najwięcej? Kronikarzu *Gazety lubelskiej*, ty, który życzysz jednakowo mnie i p. Węgleńskiemu, szlachcicowi i chłopu, przybądź i pomóż mi rozplątać ten węzeł!

Jakiś mazur z płockiego przeniósł się w podlaskie i jako bystry spostrzegacz zauważył prędko, że miejscowi handlarze robią znakomite zyski na kupnie szczeciny. W handlu funt jej kosztuje 5 rubli, podczas gdy żydzi płacą zań chłopom po złotówce; oburza się więc na chciwych i niesumiennych izraelitów i proponuje swoim parobkom i miejscowym włościanom... nabywanie produktu po tej samej cenie. Z jakiego więc powodu padły przytem gromy na żydów — doprawdy, nie rozumiem. Dodać należy, że autor z uczuciem wewnętrznego zadowolenia sam opowiada o swoim postępku, uważając go za spełnienie obywatelskiej powinności.

Korespondent *Gazety polskiej* donosząc o dwóch nieszczęśliwych wypadkach w Łodzi z dziećmi, z których jedno spaliło się, a drugie wpadło w ściek kanałowy i utonęło, zaopatruje opis faktu uwagą, że wypadki tego rodzaju powinny być przestrogą dla rodziców, którzy z karygodnem niedbalstwem, wychodząc z domu, zostawiają dzieci bez dozoru. Ale zaraz potem, o kilka wierszy niżej, dadaje, że obie ofiary nieszczęśliwych losów były dziećmi ubogich robotników, zmuszonych pracować po za domem, i wykazuje potrzebę zakładania ochronek. Ciekawy jestem, po co ukrywać w tajemnicy: jaką sztuką biedni rodzice połączą obowiązek troskliwego dozoru z koniecznością zarobkowania po za domem?

W naszej rodzimej kuźni kują się ogniwa, które braterstwem wiążą dwa odskakujące od siebie żywioły: interes pracodawcy z interesem robotnika. Ale antagonizm ten, którego uniknąć niepodobna, może być nieco złagodzony. Pojęli to widać obywatele dobrzyńscy i wystąpili z projektem, który tylko na pochwałę zasłużyć może. Według niego, pensye parobków z 25 rs. podwyższone być mają do 35, ale podwyżka składa się do kasy i po upływie pewnego przeciągu czasu, wraz z procentami, p zechodzi na własność uczestnika, który jednakże obowiązany jest przesłużyć w jednem miejscu 5 lat. Projekt może mieć swoje wady i doniosłości jego przesądzać nie należy, ale zawsze jest to przysłowiowy rydz, który w braku czegoś lepszego, przydać się może.

Kijewlanin, tropiący czujnie wszelkie nieprawości polskie, niemieckie, a zwłaszcza żydowskie, odkrył fortel, przy pomocy którego izraelici uwalniali synów swoich od wojska. Polegać on miał na tem, że biedni a bezdzietni za pewnem wynagrodzeniem adoptowali synów swoich bogatych współwierców. Siedliskiem tych operacyi, według zapewnień kijowskiej gazety, było miasteczko Rzyszczew, a fakt sam miał być tak pewnym, że na świadectwo jego spoczywał w redakcyi imienny spis winnych. Tymczasem cała ta informacya okazała się fałszem. Według prawa przybrani rodzice mogą uwalniać od wojska synów wtedy tylko, jeżeli ci w chwili adoptacyi liczyli

mniej, niż 10 lat wieku. Ponieważ nowa ustawa o powinności wojskowej wydaną została w 1874 r., dopiero zatem w 1885 r. znajdą się popisowi, którzy skorzystać będą mogli z adoptacyi. Chyba że chytrzy żydkowie na kilka lat przed wydaniem prawa poinformowali się o jego treści i zawczasu ku strapieniu antisemistów urządzili figla.

Widocznie wypadł jakiś szczęśliwy tydzień dla żydów, bo tryumfują oni na wszystkich punktach. W Malanowie, w Kaliskiem, staraniem proboszcza i dziedzica (żywioły opiekuńcze) założono gospodę chrześciańską. Miała ona wielkie powodzenie i przyprowadziła do rozpaczy poblizkiego szynkarza, który ze smutku rwał włosy na głowie. Ochłonąwszy jednak z żalu, rozejrzał się naokół i zauważył, że włościanie często są pijani, chociaż u niego wódki nie kupują, lecz piją herbatę w gospodzie. Jako niewierny, pozbawiony wpływów łaski, nie przypuszczał on możliwości cudu, tylko zaczął troskliwie badać sprawę i wynikami swoich studyów podzielił się z władzą policyjną. Wskutek tego zrobiono rewizyę gospody i okazało się, że utrzymujący ją trudnił się potajemnie przemycaniem okowity z Prus, która jako tańsza wabiła ludek. Naturalnie gospodę zamknięto, utrzymującego oddano pod sąd, a domyślny szynkarz tryumfuje i zamiast katolickiej częstuje chłopów chrzczoną wprawdzie, ale żydowską wódką.

Lękam się wszakże, czy moja dzisiejsza apologia semitów nie narazi mnie na zarzuty z ich strony. Bo u nas ludzie, zwłaszcza na prowincyi, obrażają się nietylko za nagany, ale i za pochwały. *Gazeta lubelska* pomieściła pochlebną wzmiankę o urzędnikach pewnej instytucyi miejscowej, którzy złożyli składkę i opłacili wpis za syna niezamożnego kolegi, przyczem nazwała postępek ten rzadkim faktem. Jeden z urzędników obraził się i przysłał do redakcyi list, w którym dowodzi, że fakty podobne nie są bynajmniej rzadkie i w imieniu wszystkich kolegów prosi o odwołanie krzywdzącej ich uwagi. Obraźliwy mąż w chęci wywyższenia swych towarzyszy zagalopował się tak daleko, że nawet pomiędzy 335 członkami Towarzystwa dobroczynności naliczył aż 374 urzędników—ale to nawiasem. Zaiste położenie redaktorów prowincyonalnych staje się rozpaczliwem: ganisz—obrażają się i cofają prenumeratę, chwalisz — robią to samo. Nie pozostaje im więc nic innego, tylko przepisywać wiadomości z gazet warszawskich.

Zwyczajne rozboje i grabieże stały się u nas takiem powszedniem, nierzadkiem zjawiskiem, że pisać o nich nie warto; co najwięcej wypada tylko kronikarzowi zaznaczyć fakty, które nawet w tym stanie rzeczy należą do wyjątkowych. Do takich zaliczyć trzeba wiadomość podaną przez korespondenta *Kuryera warszawskiego* z Drui. W okolicach tego miasteczka sprzęgła się banda opryszków, która napada na dwory, w biały dzień morduje podróżnych na traktach i dotychczas broi bezkarnie. Udało się policyi wyśledzić i otoczyć rabusiów w karczmie. Ale z rewolwerami w ręku oświadczyli, że do każdego, kto się zbliży, strzelać będą i najspokojniej, nieścigani, oddalili się.

X. X.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 15 kwietnia.

Agitacya bulgarska. — Przesilenie ministeryalne w Rumelii. — Peryodycznie powtarzające się wiadomości.— Bil o reformie wyborczej.

Na czas świąt życie polityczne zamiera. Parlamenty odpoczywają, odpoczywają nawet dziennikarze. Prasa albo przeżuwa dawne wiadomości, albo przygotowywa krzykliwe kaczki.

Widnokrąg polityczny przedstawia się pokojowo (czuje to nawet rubel), jedyną tylko chmurką jest agitacya bulgarska. Po metyngu w Sofii nastąpiły inne, najprzód w księstwie a następnie i w Rumelii. Uchwały, przyjęte jednogłośnie, brzmią jednakowo: żądają one utworzenia połączonej Bulgaryi. Na ostatnich zgromadzeniach dodano jeszcze poprawkę, wzywającą naród bulgarski do czynnego wystąpienia w tej sprawie. Konsulowie rosyjscy wszakże otrzymali od ambasadora w Konstantynopolu zawiadomienie, że rząd ich ruch ten potępia, a świeżo *Journal de St. Pet.* dał mu naganę. Na miejscu Stöckera dowódcą milicyi rumelijskiej mianowany został Drygalski — pasza, polak (!). Nominacya ta nie daje zasnąć strzegącym słowiańskiego kapitolu gęsiom z *Nowego Wremieni*, które żąda odwołania tylko co naznaczonego dowódcy.

Przesilenie gabinetowe w Bukareszcie zakończyło się. Bratiano pozostaje nadal na stanowisku, otrzymawszy wotum zaufania od Izby deputowanych i senatu. Niegdyś radykalny demokrata, dla utrwalenia zachwianego stanowiska zbliżył się teraz do zachowawców.

Bezrobocie robotników w Anzin we Francyi i agitacya podtrzymywana przez stronnictwo radykalne nie ustają. Przedsiębiorcy nie myślą ustąpić, rząd zaś ubocznie podtrzymuje ich, wysławszy na miejsce znaczną liczbę wojsk, pod pozorem, że ruch pomiędzy robotnikami naruszyć może spokojność publiczną.

W Egipcie ministrowie anglicy pokłócili się z krajowcami. Teraz jednak nastąpiły już wzajemne przeprosiny. Z Sudanu ciągle nadchodzą najsprzeczniejsze wieści, tak, że wpośród nich zoryentować się trudno. To niby Mahdi wyraża życzenie zgody, to znowu położenie Gordona okazuje się rozpaczliwem i tak wciąż w kółko.

Innych wiadomości ubiegły tydzień nie przyniósł nam wcale, bo nie podobna do ciekawych nowin zaliczyć ani telegramów o potyczkach w Kochinchinie i figlach dyplomacyi chińskiej, ani ujęcia irlandzkiego spiskowca z całym bagażem bomb i dynamitowych patronów, ani odkrycia nowych spisków w Hiszpanii i dokonanych wskutek tego aresztowań. Wiadomości podobne powtarzają się co tydzień mniej więcej i staną się chyba wkrótce przysłowiowemi, jak u nas to, że królowa Bona umarła, i wracać będą peryodycznie jak sławna sprawa o uregulowanie granicy czarnogórsko-tureckiej. Już chyba na żarty dzienniki donoszą właśnie, że znowu zaczęły się w tej kwestyi układy między Portą i Czarnogórzem. Obie strony spodziewają się podobno prędkiego sporu — o łatwowierni!

Ze spraw przedświątecznych dodać jeszcze należy, że angielska Izba gmin przyjęła w drugim czytaniu bil o reformie wyborczej.

Berlin. W półurzędowej *Nordd. Allg. Ztg.* ukazał się artykuł, poświęcony zamierzonej rosyjskiej pożyczce kolejowej. Gazeta pisze: „Nic tak nie charakteryzuje zasadniczego zwrotu w rosyjskiej polityce, jak wiadomość o znacznych operacyach finansowych. Jeszcze kilka lat temu podobna wiadomość byłaby wywołała niemałe zaniepokojenie; obecnie zaś napotyka wszędzie zupełne zaufanie, jako jeszcze jeden krok na drodze do dalszego utrwalenia wewnętrznych stosunków w Rosyi. Wrażenie to podnosi jeszcze ta okoliczność, że wliczbie podpisujących się na nową rosyjską pożyczkę pierwsze miejsce zajmuje berlińskie towarzystwo zamorskiego handlu" (*Seehand lungssocietät*).

— Giełda notuje: za 100 rs. 210 m. 40 f.

Paryż. Depesza gen. Millota z 15 kwietnia donosi o zajęciu twierdzy Honghoa. Podobno admirał zajął nawet port Amoy (już chiński!)

Petersburg. W sprawie obłożenia cłem zagranicznego węgla kamiennego i koksu, przywożonych przez porty czarnomorskie, oraz przez granice: południowo-zachodnią i polską, komitety giełdowe moskiewski i charkowski, oraz komitety handlu i przemysłu moskiewski, iwanowoznieseński i warszawski, oświadczyły się za ustanowieniem cła w rozmiarze 3½ k. w złocie od puda węgla, przywożonego przez porty czarnomorskie, 3 przez granicę południowo-zachodnią i 2½ przez granicę polską; zaś komitety giełdowe, oraz komitety handlu i przemysłu: petersburski, rewelski, ryski, libawski i odeski oświadczyły się przeciw ocleniu. Opinie te zostały zakomunikowane ministeryum finansów, które przedstawi swoje wnioski do decyzyi Rady państwa.

— Kurs weksli podnosi się — cena złota upada.

New-York. Popełniono zamach na życie prezydenta Gwatemali, który otrzymał ranę.

Cahors. Odsłonięto tu pomnik Gambetty. Przemawiali: prezes ministrów, minister wojny i inni.

CUDZE GŁOSY.

Na własną rękę. Nieprzychylny zwrot (kiedyż-bo i był szczerze przychylnym?) polityki rządu wiedeńskiego względem polaków i Galicyi nasuwa *Reformie* krakowskiej pytanie: „Cóż dalej?" Najzatwardzialsza, ale i najkonsekwentniejsza oponentka gabinetu hr. Taaffego widzi tylko dwie drogi: albo *opozycyę*, w środkach stanowczą i świadomą celu, którym jest *obalenie gabinetu*, albo *politykę wolnej ręki*. Pierwszej jednak nie doradza.

„Kto bowiem—wyjaśnia — wchodzi na drogę takiej opozycyi, iż za cel sobie bierze zmianę rządu, ten musi mieć rząd nowy w zanadrzu. O tem zaś dzisiaj mowy niema. Gdybyśmy obecnie rząd obalili i gdyby chodziło o wskazanie ludzi do nowego i o stworzenie dlań z tylu różnych grup Izby stronnictwa zwartego i dostatecznie silnego—byliby zwycięscy w największym kłopocie, a to tem bardziej, że ten rząd nowy miałby znaczenie jednodniowe, tj. jednoroczne, wobec wątpliwego przyszłych wyborów wyniku. Zwątpić przytem można, czyby się łatwo znaleźli „jednoroczni ochotnicy" ministeryalni. Opozycya nasza wreszcie wyszłaby prawdopodobnie na korzyść kierunku centralistycznego, któryby w takim razie wszedł na drogę odwetu, niebezpiecznego i dla nas i dla wszystkich słowian austryackich."

Obawy te nie ze wszystkiem podzielamy, w zupełności mimo to piszemy się na program następujący:

„Pozostaje więc polityka wolnej ręki i tę powinnoby sobie poselstwo nasze wbrew dotychczasowym sojuszom zastrzedz do końca bieżącej sesyi. Nie byłoby to żadną zdradą wobec czechów i słoweńców, bo—rzecz prosta—wierni naszym zasadom narodowym i autonomicznym, wszelkie sprawiedliwe w tym kierunku żądania musielibyśmy popierać z tą samą, co dotąd, gorliwością. Ani też nie byłaby to polityka wolnej ręki jakiemś przerzucaniem się z dnia na dzień w coraz nowe kierunki; przeciwnie, może ona nawet być bardziej konsekwentną, niż dotychczas, bo nie będąc stronnictwem rządowem, mogłoby Koło swobodnie postępować w myśl naczelnej zasady naszej polityki, która łączy narodowość z wolnością, w czem nas dotąd krępował wzgląd na „nasze" ministeryum i na bezprogramowe sojusze. Mogą też wtedy i korzyści dla kraju być większe, bo nas wtedy będą potrzebować, podczas gdy teraz mają nas zawsze i bezwarunkowo i mogą nad naszemi żądaniami tem śmielej przechodzić do porządku dziennego, ile że sojusznicy dają nam nadzwyczaj słabe poparcie.

A gdybyśmy nawet niczego nie uzyskali, to nie będzie żadnej zmiany na gorsze, bo i teraz przy wręcz przeciwnej polityce niczegośmy nie uzyskali. Ale przynajmniej uratowalibyśmy godność

naszą i nie potrzebowali ponosić ofiar na to tylko, aby byt gabinetu hr. Taaffego choć trochę przedłużyć.“

Program to piękny i jedyny na obecną chwilę. *Reforma* jednak nie wątpi zapewne, że woła na puszczy... Koło polskie w Wiedniu nie zdobędzie się bowiem na tyle odwagi, aby wypowiedzieć służbę hr. Taaffemu. Chyba że — o czem znowu powątpiewamy wielce — chyba wyborcy galicyjscy tak naprą na swoich przedstawicieli, iż ci, mając do wyboru albo złożenie mandatu, albo bronienie interesów *contribuentis plebis*, będą zmuszeni wejść na drogę względnej opozycyi, proponowanej przez *Reformę*.

Dniewnik Warszawskij z powodu sporu między prasą polską i niemiecką w znanej nam sprawie zamieszcza następujące uwagi:

„Liczymy wyłącznie na samych siebie—woła *Czas*. Bardzo pięknie! Lecz dla osiągnięcia jakiego celu? Czy cel ów polega na tem, żeby—jak to nieraz wyznaje zagraniczna prasa polska—pozostać polakami i utrzymać swoją narodowość lub też na tem, żeby—co również nieraz wyznaje taż prasa—odbudować Polskę „od morza do morza?“ Jeżeli mowa wyłącznie o utrzymaniu narodowości polskiej, tj. języka rodzinnego, religii starodawnej, pewnych właściwości bytu prawnego i cech życiowych, to my rosyanie nie mamy o co się kłócić z polakami. Wprawdzie nie troszczymy się zbytecznie o język polski, lecz nikt niema prawa zobowiązywać nas do tego, a nawet *niema w tem żadnej potrzeby*: język polski istnieje, mówi nim kilka milionów ludzi, posiada własną literaturę, jakiejże więc szczególnej opieki można dla niego wymagać od rządu nie-polskiego, od społeczeństwa, które również posiada swój język narodowy i swoją literaturę? I katolicyzmu nie podnosimy do rzędu religii państwowej, lecz nie przeszkadzamy wyznawać go tym, co go wyznają. Niedość tego, nietylko nie występujemy przeciwko katolicyzmowi zaczepnie, lecz—według ostatnich wieści z kraju północno-zachodniego—niezbyt fortunnie odpieramy jego kroki zaczepne. Czegóż więcej? Właściwości społeczne i prawne? Lecz czyliż uchylilismy kodeks cywilny Królestwa Polskiego? Czyż nie przyznajemy całej słuszności miejscowemu systemowi hypotecznemu? Czyż nie ulegamy zbyt uciążliwemu zwyczajowi *wynajmowania lokali jedynie w ściśle określonych terminach*? Lecz uroszczenia kierowników polskiej opinii publicznej nie mają granic. Wszyscy pamiętają dotąd hałas, wszczęty przez prasę polską zagraniczną, z powodu, iż śpiewaczka rosyjska otrzymała pozwolenie wystąpienia w teatrze warszawskim rządowym; trzeba wiedzieć, że zorganizowanie w Warszawie towarzystwa dramatycznego rosyjskiego jest uważane za gwałt krzyczący wobec narodowości polskiej, w tych dniach zaś *Dziennik poznański* rzucał gromy z powodu; iż miejscowy generał-gubernator śmiał porozsyłać zaproszenia rosyjskie na własne przyjęcia urzędowe i że pozwala sobie rozmawiać z mieszkańcami w kraju urodzonymi w języku rosyjskim. „Z nimi—woła dziennik polski—królowie rozmawiali w języku międzynarodowym!“ (francuskim). Grzeczność jest rzeczą piękną, lecz jest ona możliwą jedynie względem tych, którzy odpowiadają na nią również grzecznością. W listach naszych używamy, prawda, „szanowny panie“ i „uniżony sługa,“ lecz gdyby ten, do kogo frazesy te są zwrócone, wyobrażał sobie, iż w istocie jesteśmy jego sługami i zechciał nad nami panować, postaralibyśmy się dowieść mu, iż jest w błędzie. Cesarze Aleksander I i Mikołaj, a nawet i Aleksander II w ciągu lat kilkunastu raczyli zwracać się do polaków nie w języku własnym — i cóż stąd? Czyż kierownicy opinii publicznej polskiej wyrazili choćby najmniejsze za to uznanie? Czy zrozumieli, iż ze strony Monarchów rosyjskich jest to tylko grzeczność, nie zaś obowiązek? Wszakże ani król pruski, ani nawet głowa państwa przyznającego równouprawnienie języków i narodowości—cesarz Austro-Węgier nie rozmawiają ze swoimi poddanymi w inny sposób, jak w języku państwowym, niemieckim.“

Koniec wywodów taki:

„Każdy człowiek rozumny w Rosyi pojmuje teraz, iż wobec takiego nastroju społeczeństwa polskiego, jaki przypisuje mu zagraniczna prasa polska i jaki jest jej dziełem, rząd nasz nie może pozwolić w kraju tutejszym ani na instytucye ziemskie, ani na samorząd miejski, ani na wpływ społeczeństwa na szkołę, ani nawet na sądy przysięgłych.“

Nowoje Wremia polemizuje również z zagraniczną prasą polską:

„Polacy, sądząc z ich prasy peryodycznej, odznaczają się bardzo naturalnie godnem poszanowania, ale dochodzącem do fanatyzmu przywiązaniem ku wszystkiemu, co ojczyste, chociaż to im nie przeszkadza dopuszczać sprzedawania swojej ziemi niemcom, emigrowania do Ameryki, służenia za narzędzie żydom etc. Możnaby powiedzieć, że ich miłość do kraju jest jakąś wojującą, mającą na celu głównie prowadzenie tym lub owym sposobem walki z rosyanami, a teraz los rosyan dzielą także i niemcy. Gdyby *Reforma* pojmowała reformę w tym mianowicie kierunku, to i ze strony rosyjskiej nie byłoby powodu do szczególnych replik; w istocie praca, oszczędność, dobrobyt—wszystko to są takie cele, ku którym zwrot powinien owszem otrzeźwić najzaciętszych marzycieli, zapewnić im możliwe na ziemi szczęście, dające się przecież wyobrazić obok braku polityki i nieprzeszkadzające zachowaniu języka i narodowości, pod warunkiem oddawania państwu i językowi państwowemu, co mu się należy, oddawania *cesarzowi co jest cesarskiego*... Dla nikogo nie jest tajemnicą, że do nowego zwrotu polityki rosyjskiej przyczynili się po części polacy owem wyzywającem położeniem, jakie zajęli względem Rosyi wówczas, kiedy w powietrzu wisiała wojna. I jeżeli teraz przedsiębrane są środki naturalnej ostrożności przeciw przyszłym ewentualnościom nad Wisłą, jest to nietylko prawem, ale i obowiązkiem Rosyi względem samej siebie, względem swojej państwowej całości. Pomimo to wszystko więcej tu dziennikarskiego hałasu, przesadnych pogłosek, niż rzeczywistych niebezpieczeństw dla narodowości polskiej, których Rosya nie myśli nawet sprowadzać, zabezpieczając jedynie wypełnianie koniecznych państwowych wymagań.“

Konkluzya petersburskiej gazety brzmi tak samo, jak i głos *Warszawskiego Dniewnika*.

„Słowem każde nasze ustępstwo powoduje wzmocnienie wojowniczego ducha.“

JESZCZE RAZ W SPRAWIE PISOWNI POLSKIEJ.

I.

„Przewodnik bibljograficzny“ krakowski, w zeszycie marcowym zamieścił następną wiadomość:

„Komisja językowa Akademji Umiejętności pracuje od kilku miesięcy nader gorliwie nad ustaleniem pisowni dla wydawnictw Akademji. Wezwana do tej czynności przez grono uczonych i literatów warszawskich, zbiera się w tym celu na posiedzenia częściej niż przedtem, niekiedy nawet w niedzielę i dni uroczyste od godziny 11—1 i uporała się już dotąd z bardzo znaczną częścią materjału, a co ważniejsza, załatwiła już w łonie swojem najdrażliwsze może ortograficzne kwestye sporne. I tak np. przyjęła już dla wydawnictw Akademji, jednogłośnie lub większością głosów: b, m, p, w bez kreski wszędzie; c w zakończeniach wyrazów bezokoliczaych: móc, strzéc, biéc...; f, k, l, m, p, r, s pojedyncze, w wyrazach przyjętych z łaciny lub greki; i samo w inaczej, iskra, rozmaity, troisty, moi, szyi...; ia—ya, w wyrazach przyswojonych opinia, historya...; s w zakończeniach ski, stwo, jak męski, niski, papiestwo, zwycięstwo... Zasadniczą i wszechstronną w całem znaczeniu dyskusją prowadziła Komisja w wigilją wigilji Bożego Narodzenia, 23 grudnia r. 1883, co do ia—ya w wyrazach przyswojonych. Wniosek pisania tych wyrazów przez ja, również wniosek pisania ich przez ija—yja, upadły, utrzymał się natomiast wniosek pośredni, pisania ich przez ia—ya. Na ośmiu głosujących, oświadczyło się za nim pięciu członków, mianowicie: lingwista dr. J. Hanusz, lingwista prof. dr. Malinowski i pp. M. Pawlikowski, ks. kanonik Polkowski i Wł. Wisłocki.“

Czy i ile jest ironii, wyrzutu, zarzutu lub dobroduszności w tej krótkiej notatce, którą przepisałem dosłownie, w to nie mam zamiaru wchodzić. Postanowiłem zająć się tylko jej treścią i wyrazić myśli, które mi się po przeczytaniu jej nasunęły. Liczę na bezstronność i uprzejmość redakcji „Prawdy,“ iż nie raczy odmówić zamieszczenia tej mojej odezwy, jakkolwiek pogląd mój na pisownię w niektórych punktach różni się nieco od zasad przez tę redakcję przyjętych *).

Kilka miesięcy temu ogłosiłem broszurę „W sprawie pisowni polskiej i wiążących się z nią zagadnień gramatycznych“ (Kraków, 1883). Starałem się w niej wyłożyć i poprzeć dowodami mój pogląd na punkta sporne lub nieustalone pisowni naszej. Pisząc ją, miałem głównie na baczeniu wnioski, zawarte w książeczce p. A. A. Kryńskiego „O pisowni polskiej itd.,“ Warszawa, 1882. Z referatu „Przewodnika bibljograficznego,“ który przytoczyłem, widać, że komisja Akademji przyjęła, oprócz jednego, wnioski dopiero co wymienionej rozprawy. Że zaś o niektórych z nich wyraziłem w broszurze moje odmienne zdanie, że broszura ta prawdopodobnie mało jest rozpowszechnioną, że nie mówiłem w niej o jednym, odrzuconym obecnie przez komisyę wniosku, i że nareszcie zdawało mi się rzeczą stosowną i wczesną powiedzieć słów kilka o samym fakcie czynności komisji, pozwalam przeto sobie raz jeszcze zabrać głos w sprawie, która dość żywo ogół nasz obchodzi, a przynajmniej obchodzićby powinna.

Według porządku wniosków, w jakim je podał „Przewodnik,“ następne zamieszczam uwagi: a) o pisowni bezokoliczników typu *móc*, *biéc*; b) o zdwajaniu niektórych spółgłosek w wyrazach, przyjętych z języków greckiego i łacińskiego; c) o pisaniu wyrazów, przyjętych z tychże języków, typu—*ia*, —*io*, —*ium* itd. i d) o pisowni *niski* obok *męski* itp.

Co do pierwszego. Zdanie moje o pisowni *móc*, *biéc* wyraziłem w § 30 broszury mojej, uzasadniwszy je rozumowaniem ogólnikowem w § 3. W kilku słowach to ostatnie tutaj streszczam, Pisownia, zdaniem mojem, prawie z równą samorzutną nieświadomością się rozwinęła, jak sam język; że ten ostatni ma swe prawa obowiązujące dla dziś nim mówiących, którzy bezwiednie im ulegają i ulegać muszą, o tem łatwo się przekonać: dość spróbować np. mówić *ociec*, *ócca*, aby doznać zupełnego niepowodzenia we wskrzeszeniu form niezawodnie prawowitych, ale... nieużywanych. Zkąd wynika nieuchronność niepowodzenia? Ztąd, że w języku mówionym i pisanym panuje bezwzględne prawidło, iż tak zwany usus fatalnie silniejszym jest od wszystkich względów i dowodów logicznych, historycznych, etymologicznych itp. Fakt ten uznało językoznawstwo za niezbity. Otóż mniemałbym, że i pisownia, jako rodzona, choć młodsza, ale nieodstępna siostra języka mówionego w ciągu jego rozwoju, posiada również prawa pewnej prawowitości i nietykalności, których bezkarnie (to jest, w danym razie, bez widoków niepowodzenia) naruszać nie wypada. Rozumny a umiarkowany prawodawca nie poziomuje zwyczajów, obyczajów i obrzędów prawnych jakiejś okolicy, chociażby ogólny kodeks jego stokroć od nich był racyonalniejszym; owszem, uwzględnia je i pielęgnuje, o ile, ma się rozumieć, nie zostają w zasadniczej a czynnej sprzeczności z kardynalnemi prawami i pojęciami kraju. Tak samo i w sprawie pisowni. Przypatrzmy się bliżej tym słówkom: *módz*, *biedz* itp. Czy piśmienna ich postać świadczy o zupełnej bezmyślności tych, co ją utworzyli? Zgoła nie. Zdawało im się, że skoro w wielkiej ilości zazów g miękczy się na dz (np. *noga*—*nodze*, *srogi*—*srodze* itp.), to i w bezokoliczniku pni, ra-

*) Dla pozostawienia szan. współpracownikowi nazsemu zupełnej swobody głosu, nietylko pomieszczamy jego artykuł, ale pozostawiamy w nim bez zmian nawet pisownię autora. *Red.*

kończonych na *g*, takie same zmiękczenie wyrazić na piśmie wypada, tem bardziej że słyszeli *dz* w takich zwrotach, jak „biedześ nie chciał“ itp. Poszedł więc twórca pisowni *biedz* za głosem tej kategoryi logicznej, która się nazywa analogią. Nowsze językoznawstwo spostrzegło, że analogia ta była, z punktu naukowego, błędną i dowiodła, że *moc* i *módz* powinny się pisać przez *c*. bez różnicy, chociaż od pnia *mog* pochodzą. Ale też językoznawstwo odkryło, że mnóstwo innych form i wyrazów nie tak brzmi i nie tak się pisze, jak by z natury rzeczy należało: że powinnoby się mówić i pisać zamiast *prześcieradło*, *źwierciadło*. *dwóch*, *brat*, *ojciec*, *mieć*, *jesteś*—*prześcieładło*, *ziercadło*, *dwu*, *bratr*, *ociec*, *imieć*, *jeś* itp. Co do niektórych wyrazów spróbowano restytucji: postanowiono np. wskrzesić formę *dwu*, ale z jakiemże niepowodzeniem! Dziesiątki, rozrzucane przez Kopczyńskiego, w celu wskrzeszenia n w wyrazie *garnki*, okazały się zmarnowanemi.

Otóż skorośmy się raz na zawsze przekonali o nieskuteczności wszelkich zamachów na zwyczaj w mówieniu; skoro przeżywamy,—i słusznie, — *bakałarstwem* porywanie się z motyką reguł teoretycznych na słońce tradycyi *mownej*; skoro pozwalamy sobie żartować nawet z zagorzalców, którzy się upierają przy mówieniu *jabłko* (ze zgłoską *bł* dobitnie wygłaszaną), albo przy pisaniu i mówieniu *kurrjer* (z dwoma *r*): to, zapytuję, dla czego, w imię czego wypowiadamy wojnę zupełnie takiej samej tradycyi *piśmiennej*, która się rozwinęła na takiej samej tradycyi i ewolucji, wylęgła się z tej samej i takiej samej analogji? Dla czego krzywimy się, gdy ktoś się poważy *mówiony* słoworód ludowy nazwać wytworem analogii *błędnej*, a pozwalamy sobie epitetu *błędny* używać o takimże samym słoworodzie *pisanym*? Powtarzam przeto: nie widzę najmniejszego powodu do rugowania pisowni *módz*, *biedz*; owszem, upatruję dużo powodów przeciwko temu rugowaniu: nasamprzód, niszczy ono mozolnie, wiekową robotą wypracowane różniczkowanie, a więc prawnie osiągnięty nabytek mnemoniczny, logiczny, syntaktyczny i graficzny. A jednak, według praw rozwoju powszechnego, ewolucya zależy na ciągłem różniczkowaniu, ale nie kasowaniu różniczkowania. Powtóre, podnosi do znaczenia reformy drobiazg, wobec wielu innych, daleko ważniejszych niedostatków (jak np. pisanie *wiem* zamiast *vem*, *przeszyć* zamiast *prešyć* itp.), których wszyscy się boją nawet dotknąć.

(D. c. n.)

Jan Karłowicz.

ZJAZD LITERACKI.

Tem chyba, dwuznacznem mianem ochrzcić należy zwołane na koniec maja do Krakowa zgromadzenie pracujących nad literaturą polską i oświatą. Jak tłomaczy rozesłana przez Akademię Umiejętności odezwa, wiec ten wywołały niedostatki i ułomności w robotach około historyi piśmiennictwa polskiego, któremu brak umiejętnej metody badania, rozjaśnień związku między autorami oraz między nimi a całą epoką, wreszcie porządnych i sumiennych wydań. W tych brakach tkwi potrzeba — a wybór terminu usprawiedliwia odezwa przypadającą w tym roku trzechsetną rocznicą śmierci Jana Kochanowskiego.

„Nie może (?) i nie powinien (?) naród cały cenić i sławić pisarzy i poetów tak, jak bohaterów i ludzi czynu; ale kiedy on słusznie obchodził rocznicę króla Jana i jego zwycięstwa, to nauka i literatura, to ludzie, którzy im służą, nie mogą pozwolić (!) na to, by niewspomniana, nieuczczona przeszła rocznica tego, który literaturę całą dźwignął i uszlachetnił, a poezyę polską stworzył i przez półtrzecia wieku był w niej pierwszym. Pisarza, który to piętno wysokiej cywilizacyi pierwszy na umysłowem życiu swego narodu wycisnął, uczci się najwłaściwiej i najgodniej, jeżeli się dla jego pamięci takiego coś przedsięweźmie i dokona, co oświacie i nauce, co tej przez niego wysoko postawionej literaturze polskiej posłuży. Będzie to poniekąd utrzymaniem ciągłości jego myśli i starań, wiernem i pobożnem po wiekach pełnieniem jego woli.“

Oprócz zapowiedzianych 18 referatów odezwa zachęca do dalszych, a ponieważ zjazd ma trwać dni trzy, obawiamy się przeto, czy on nie przejdzie na odczytaniu prelekcyj bez żadnych obrad.

Według nas, nie powinien on być cyklem luźnie zestawionych wykładów, bo te można wydrukować i poznać bez przyjeżdżania do Krakowa, ale szeregiem wspólnie roztrząśniętych kwestyj i rozpatrzonych punktów spornych. Nadewszystko zaś, jeśli ma przynieść istotny pożytek, musiałby się zamknąć w ograniczonem kole zadań i te wyczerpać gruntownie. Tymczasem uczestnicy będą dotykali najrozmaitszych stron życia umysłowego, od teologii do lingwistyki, i najrozmaitszych okresów (wiek XV, XVI, XVII, a niektóre referaty włączą i XIX). Tak np. czy temat dr. J. Hanusza: „O ile by należało uwzględniać nowsze teorye gramatyki indoeuropejskiej w pracach, poświęconych kwestyom historyczno-porównawczym języka polskiego“ — jest właściwym dla *zjazdu* i do tego dla zjazdu, mającego się zajmować historyą *literatury* polskiej! Lingwistyka jest dziedziną zupełnie odrębną, którą my tylko do innych pól włączamy. Podobnych uwag nasunęło nam się więcej, ale pomijamy, gdyż one na ustalony już porządek obrad nie wpłyną.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Zmiany urzędowe. Naczelnik żandarmów w Warszawie hr. Kutaisow został uwolniony od dotychczasowych obowiązków.

Sądy. Senat zatwierdził wyrok warszawskiej Izby sądowej, uwalniający p. Kazimierza Zalewskiego, redaktora *Wieku*, od odpowiedzialności w procesie, wytoczonym przez b. dyrektora teatrów, p. Muchanowa.

Teatr. Rozdano do nauki role z komedyi Bałuckiego *Gęsi i gąski*.

Fortyfikacye około Warszawy mają być już w jesieni ukończone.

Nowe pisma. Tym razem narodzą się... w Radomiu: *Gazeta radomska* (dwa razy tygodniowo) i *Kuryer radomski* (codzień). Jak nie było, to nie było, a jak jest, to aż za dużo.

Cyrk Ciniselli'ch przybył do Warszawy.

Z prasy rosyjskiej. Gazeta *Wostok*, wychodząca w Moskwie, za „ciągłe zuchwałe wycieczki przeciw wyższej hierarchii duchownej prawosławnej oraz za zapalczywą krytykę zarządu kościelnego,“ otrzymała trzecie ostrzeżenie i wydawnictwo jej zawieszone zostało na cztery miesiące. Po wznowieniu podlegać będzie cenzurze.

Akademia krakowska. Wydział historyczno-literacki postanowił wydać t. z. *Liber diligentiarum*, tj. spis profesorów i wykładów na wydziale filozoficznym uniwersytetu Jagiellońskiego od 1487 do 4563 r., oraz zbiór praw i przywilejów m. Krakowa z XVI wieku; pomiędzy nimi na szczególną uwagę zasługują akty skarbowe i budżety miejskie. Redakcyę kodeksu listów z XV w. powierzono prof. Smolce i Lewickiemu. Na temże posiedzeniu przewodniczący oznajmił, że *Archiwum Radziwiłłowskie* znajduje się już w druku.

Kłopot. Cukiernicy kaliscy sprowadzili lód aż z Norwegii. Na komorze jednak urzędnicy zatrzymali transport i telegraficznie odnieśli się do Petersburga z zapytaniem, czy nie należy oclić tego przedmiotu. Słusznie. Jeżeli „Intryga polska“ doszła do takich granic, że nawet zimy prawdziwej u nas niema, za to przekroczenie praw przyrody powinniśmy płacić. Wiadomość powyższą podaje *Wiek*.

Ruch budowlany w Warszawie maleje. Do 1 kwietnia zatwierdzono tylko 62 plany nowych domów, kiedy w innych latach w tym czasie liczba zatwierdzonych planów dochodziła 200 a nawet 300.

Sądy przysięgłych. Pomimo krzyków niektórych organów prasy rosyjskiej, specyalna komisya, zwołana przy ministeryum sprawiedliwości z udziałem prokuratorów Izb sądowych, odrzuciła wnioski, żądające rdzennych reform tej instytucyi i zaprojektowała tylko częściowe ulepszenia, jak: podniesienie kwalifikacyj umysłowych, ograniczenie prawa wyłączania sędziów i zmianę w porządku stawiania pytań. Środki te komisya uważa za zupełnie wystarczające.

Maszyny rolnicze. Przywóz maszyn i narządzi rolniczych z zagranicy do Rosyi w ciągu czterech lat wzrósł z 4 na 9 milionów rubli; wobec tego podwyżka cła, mająca na celu podniesienie tej gałęzi miejscowego przemysłu, okazała się konieczną.

Specyalność. Łódź pozyskała nowy zakład wychowawczy. Niejaki p. Zygmunt Goldstein otworzył tam szkołę dla edukacyi psów, nietylko myśliwskich, ale i pudlów, których uczy różnych sztuczek. Jedno z pism warszawskich kpi z tego przedsiębiorstwa, a jednak w Niemczech podobny zakład (Minki) rozsyła psy tresowane nawet do Warszawy.

Mapa geologiczna. Ministeryum dóbr państwa wygotowało plan robót dla sporządzenia mapy geologicznej Cesarstwa i Królestwa.

Wykopaliska. Schliemann rozpoczął już roboty w Maratonie: zamierza on rozkopać leżący w pośrodku doliny pagórek, w którym, według jego zdania, spoczywają ciała poległych greków.

Pożar. W obwodzie akmolińskim step palił się na przestrzeni 300-wiorstowej. Bydło, kibitki i ruchomości kirgizów spłonęły do szczętu.

Zmarli: Karol Reade, znany powieściopisarz angielski.

— Dumas, znakomity chemik, członek Akademii francuskiej.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Wincentemu M. w Petersburgu. Z niemieckich — niestety — najbardziej klerykalna *Germania*, po części także demokratyczna *Frankfurter Zeitung*. Francuskie nami się nie zajmują.

br. Z powodu samego autora — nie można.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 6 Апрѣля 1884 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.